

# Zachód słońca. Scenariusz filmu kinowego

KORNEL FILIPOWICZ, STANISŁAW RÓŻEWICZ

Sylwetka cztero, pięcioletniego chłopca na tle zachodzącego słońca. Pofalowany krajobraz, na pierwszym planie pojedyncze drzewa, dalej pola i łąki, jeszcze dalej jezioro lub rzeka, za wodą pasmo lasów. Ogromne, pomarańczowo-złote słońce dotyka właśnie krawędzią granatowego lasu. Chłopiec patrzy, być może ma jeszcze nadzieję, że słońce zatrzyma się na krawędzi lasu – ale słońce osuwało się coraz niżej. Granatowy las zjadał po kawałku pomarańczową tarczę, chmury na niebie obryzgały się czerwonym światłem. Niebo było jeszcze jasne, ale ziemia pogrążyła się w mroku. Z daleka słychać było gwizd jakiegoś ptaka, z bliska, ze stajni, stukanie kopyt końskich. Słońce zostało już do połowy zjedzone przez ciemność. Chłopak odwraca się gwałtownie, biegnie do domu, płacze bezgłośnie, łka. Biegnie przez ciemny korytarz, wpada do pokoju, staje koło okna. Straszne widowisko na niebie kończy się już. Zza lasu widać już tylko skrawek słońca.

Babka siedzi koło stołu, czyści szkiełko lampy naftowej, matka rozkłada talerze. Tyka powoli wielki, stojący przy ścianie zegar. Jest spokojny wieczór w domu, za chwilę zabyśnie światło lampy, rodzina siądzie do kolacji przy wielkim, okrągłym stole. Wchodzi ojciec. Za plecami chłopca rozlega się gruby głos:

– Dlaczego on płacze?

– Zawsze płacze jak słońce zachodzi. Wymyślił sobie taką zabawę – powiedziała matka.

– Dlaczego płaczesz, Witusiu?

Ojciec musi dwa razy powtarzać pytanie.

Po chwili chłopak wykrztusił:

– Bo wszystko się kończy...

– Co się kończy?

– No wszystko, dzień się kończy, świat się kończy, już nic nie będzie... – mówi chłopak jękając się i popłakując.

– Co ty mówisz, przecież jutro znowu będzie dzień – powiedział ojciec. Jego głos był teraz łagodny.

– Nie, nie, już nic nie będzie...

– Daję ci słowo honoru, że jutro znowu będzie dzień. I jutro, i pojutrze, i popojutrze...

Chłopak odwraca się, ociera ręką łzy, biegnie do kuchni. Kiedy wróci, rodzina będzie już siedziała przy stole. Na stole dymi wielka waza z zupą. Jedno krzesło jest wolne. Chłopak wdrapuje się na krzesło trochę dla niego za wysokie.

\*

Profesor biologii Witold Łuniewicz prowadzi zajęcia z nauki o komórce. W zaciemnionym wnętrzu sali wykładowej jaśniej prostopokątem ekranu, na który z cichym trzaskiem wskazują raz po raz kolorowe obrazy wnętrza świata, do którego oko dociera tylko za pośrednictwem mikroskopu. Przezrocza są kolorowe, poszczególne elementy komórkowe odcinają się wyraźnie od siebie, tworzą dziwne, nierealne obrazy. Wiązka barwnych promieni z epidiaskopu rzuca blaski na twarze słuchaczy. Jasno oświetlona trzcinka zakreśla w powietrzu łuki, zatrzymuje się na jakimś szczególnie obrazu, cofa się, ginie w ciemności. Panuje cisza, od czasu do czasu słychać tylko głos profesora. Jego objaśnienia są krótkie i rzeczowe.

– Zwróćcie państwo uwagę na ten preparat...

Na ekranie pojawia się kompozycja złożona z kolorowych plam, linii, punkcików, gwiazdek. Ich układ w niektórych miejscach jest zagęszczony, w innych rozrzedzony. Kompozycja jest doskonała jak dzieło sztuki.

– Picasso... – powiedział ktoś na sali.

– Picasso? Nie powiedziałbym, raczej Kandynsky, Miró, Klee... – odpowiedział profesor. Załśniła w powietrzu trzcinka i dotknęła podłużnej, przewężonej w środku formy, widocznej pośrodku obrazu.

– O, tu, świetnie widać początek kariokinety. Za chwilę jądro komórkowe podzieli się, powstaną dwa jądra, dwie komórki, dwa organizmy. Proszę!

Trzask – i na ekranie, zamiast kolejnego stadium podziału komórki – pojawiła się goła dziewczyna. Śmiechy na sali. Asystent przeprosza profesora, pod adresem studentów rzucił: „Kretyńskie wice”. Trzęsącymi się rękami manipuluje przy epidiaskopie, na ekranie pokazuje się dziwa jeszcze raz, ale do góry nogami. Znów śmiechy, głosy:

– Odwróć, bo dostanie migreny...

– Niech pan się nie denerwuje, panie Staszku, to był właśnie efekt końcowy podziału komórki, trzeba powiedzieć, że dosyć udany, nieprawdaż? – mówi profesor.

– Owszem, fajna babka – odzywa się jakiś eunuchowaty głos na sali. Śmiechy.

– No więc, wracajmy do początku...

Znika goła dziwa, pojawia się przeraźliwie oświetlony prostokąt pustego ekranu, potem wraca obraz przedstawiający kolejne stadium podziału komórki. Komórki mnożą się, jest ich teraz cztery, potem szesnaście, potem 256...

– Proszę światło! – mówi profesor. Studenci podnoszą zasłony na oknach. Zimne światło dnia zalewa wnętrze sali. Twarz profesora i twarze słuchaczy wydają się zmęczone i wyblakłe, jak twarze ludzi po wyjściu z kina.

– Dziękuję, i przypominam: pojutrze, środa o dziewiątej – dodaje profesor.

\*

Profesor spogląda na zegarek (ten odruch będzie się często powtarzał), uruchamia samochód. Jedzie swoim Fiatem w cizbie samochodów, autobusów, tramwajów, przystaje na światłach. Przed maską samochodu przesuwa się tłum ludzi. Profesor patrzy w lewo: za kierownicą mercedesa siedzi piękna kobieta. Widzi jej profil, jej kształtną szyję, ramiona. Ale kobieta nie ogląda się, jej cała uwaga skupiona jest na prowadzeniu samochodu. Włączono zielone światła, profesor, kobieta nieznajoma i wszyscy dookoła, siedzący za kierownicami samochodów, włączyli takim samym ruchem bieg. Profesor skręcił w lewo. Nieznajoma pojechała prosto. Chwilę potem profesor zatrzymuje samochód przed „Motozbytem”. Znajduje, nie bez trudu, miejsce na parkingu. Wchodzi do sklepu, pyta czy jest jakaś część do Fiata.

Nie, nie ma. Klient stojący koło lady objaśnia profesorowi, że wczoraj widział tę część w „Motozbycie” w Jarosławiu. Profesor wychodzi, wsiada do samochodu, odjeżdża.

Zatrzymuje się przed Instytutem Bakteriologii. Wsiada, wita się z kimś, kto wchodzi właśnie do Instytutu. Po chwili profesor rozmawia z kimś w laboratorium. Oznaczenie tych bakterii jest profesorowi bardzo potrzebne, bez tego nie może ruszyć tamtej sprawy. Pani Cesia na urlopie, mgr Leśniewski na urlopie, dr Murdo na chorobowym, więc kto to miał robić? Rozmowa nie prowadzi do niczego.

Profesor wraca samochodem do domu. Nie ma jeszcze pory szczytu, ale młyn wielkiego miasta kręci się cały dzień. Tysiące ludzi przesuwa się we wszystkich kierunkach, krzyżuje z sobą, przenika, miesza. Profesor patrzy obojętnie na bezosobowy tłum ludzi – gdy nagle, dostrzegł jakby kogoś znajomego. Jest to Danuta. Młoda kobieta w skromnym, szarym płaszczu, z gołą głową, ma ciemne, spadające na ramiona włosy. Podniosła rękę i grzbietem dłoni, jakimś bardzo znajomym ruchem, odgarnęła spadający na czoło kosmyk włosów. Ale profesor nie jest pewien. Widzi tylko rękę i część policzka kobiety, resztę zasłaniają ludzie, potem widzi jeszcze plecy kobiety. Profesor próbuje ją jeszcze odnaleźć wzrokiem całą, oddzielić od innych ludzi, zatrzymać – ale oto wskoczyło już zielone światło, i profesor rusza samochodem, nie spóźniając się ani o sekundę.

\*

Profesor nareszcie u siebie w domu. Czyta kartkę zostawioną w kuchni na stole przez Łodzię. Koślawym pismem napisane: „Pranie wzięłam. Jajka 34 złote som w lodówce”.

Profesor robi kawę, potem z filiżanką w ręku idzie do gabinetu. Włącza światło. Pokój, w którym profesor pracuje, jest dosyć zagracoany. Książki w regałach, w stosach pod ścianami, te, które nie zmieściły się w półkach. Pozaładowane kolorowymi paskami książki na biurku. Z boku do biurka przystawiony niski stolik z mikroskopem okrytym foliowym pokrowcem, jakieś skrzynki, pudełeczka, odczynniki

w butelkach. Na ścianach parę obrazów, dwa czy trzy abstrakcyjne. Dwa sztuchy przedstawiające Pliniusza i Darwina.

Stoi fotel domowy, który pamiętamy z urzędzenia pokoju babki. Natomiast w przedpokoju – wielki stojący zegar. Ten sam, który stał w jadalni, w domu rodzinnym profesora, w takim samym, powolnym rytmie odmierza czas.

Profesor stawia kawę z filizanką na biurku, zasuwając zasłony na oknach, wraca do biurka. Siada wygodnie w fotelu, trwa chwilę bez ruchu. Z przedpokoju słychać ciche, powolne tykanie zegara. Profesor ma w zasięgu ręki, z prawej strony biurka, radio. Uruchamia je. Słychać muzykę Händla. Profesor bierze do ręki jakiś maszynopis, przerzuca go, odkłada. Otwiera inny, założony w połowie czerwonym papierkiem i pogrąża się w pracy. Czyta, poprawia. Wstał i podszedł do półki z książkami, sprawdził coś, wrócił do biurka. Jest spokojny wieczór w domu profesora. Z radia płynie muzyka, która nie przeszkadza. Jest muzyką ponadczasową. Ale utwór Händla skończył się, spiker wiedeński podaje prognozę dla Austrii na dzień jutrzejszy. Profesor wyciąga rękę i przekręca gałkę aparatu, potem wraca znów do przerwanej pracy. Kobieta z towarzyszeniem fortepianu śpiewa teraz starą piosenkę, która profesorowi coś przypominała. Podniósł głowę, słucha.

\*

Nie ma gabinetu profesora, jest pokój babki w domu jego rodziców. Czteroletni Witold bawi się na podłodze kolorowymi klockami, blisko nóg siedzącej na fotelu babki. Babka szuka czegoś w koszyczku, ogląda jakieś chusteczki, kołnierzyki, falbanki. Nuci przy tym cicho piosenkę, którą profesor usłyszał przed chwilą w radio. Słowa piosenki z początku brzmią niezrozumiale, potem stają się wyraźne:

Nie budźcie jej z czarownych snów  
Niech sen uroczy pieści ją...

Babka przerywa śpiewanie, odchrząkuje, wygładza na kolanach jakąś koronkę. Śpiewa dalej:

Gdy zbudzi się, zachmurzy brwi –  
Na tyle leż, na tyle krwi...

Chłopak o jasnych, przyciętych nad czołem a la Piast Kołodziej włosach, podnosi głowę, patrzy na babkę. Z jego oczu płyną łzy.

– Witusiu, dlaczego płaczesz?

– Bo mi smutno...

– Dlaczego ci smutno?

– Bo, bo, bo babcia tak smutno śpiewa...

Głos ojca zza pleców:

– On jest w ogóle straszna beksa...

– Nieprawda, nie beksa, tylko on jest dziecko uczuciowe. Prawda Witusiu?

– Tak...

Babka pochyła się, mówi cicho:

– No powiedz babci, dlaczego płaczesz?

– Bo to jest smutne, co babcia śpiewa. Bo, bo... (chłopak nie umie powiedzieć, na czym to polega, z czego bierze się jego smutek) – bo tak idzie w dół i w dół. Do piwnicy idzie...

– Dokąd Witusiu?

– Do piwnicy, a w piwnicy jest ciemno i są szczury...

– Ale w piwnicy, Witusiu, jest kot Mruk, on zaraz wypędzi szczury, nie będzie szczurów... A spróbuj dmuchnąć...

Rozpoczyna się zabawa, która spowoduje, że dziecko zaraz zapomni o smutnej piosence. Babka będzie kładła na głowie dziecka kolorowe pasemka włóczki, a dziecko będzie je musiało zdmuchnąć. Nie będzie wolno pomagać sobie rękami. Trzeba będzie się wykrzywiać, przechylać głowę, dmuchać bokiem... Za chwilę oboje, babka i dziecko będą się śmiali do rozpuku.

\*

Odzywa się telefon. Profesor podnosi słuchawkę. Zagraniczna rozmowa. Naukowiec z Paryża przyjeżdża do Polski, pyta czy zastanie profesora? Tak.

\*

Profesor ma szczególnie ciężki dzień. Schemat jego zajęć jest bardzo podobny do dnia wczorajszego, ale dziś wypełniony jeszcze dodatkowo jakimiś drobnymi, irytującymi sprawami. Skończył wykład. Tablica pokryta jest

rysunkami przedstawiającymi jakieś elementy komórkowe, cyframi, wzorami. Profesor wychodzi, zatrzymuje się koło umywalni: myje pobrudzone kolorową kredą ręce, wyciera je ręcznikiem. Spojrzał przelotnie w lustro.

Na korytarzu zatrzymuje asystenta Z. prowadzącego ćwiczenia na trzecim roku.

– Jak leci, panie Zbyszku?

– W porządku. Ale z Eschevicią słabo, mamy opóźnienia.

– Ultrawirówka?

– Tak. Pochodzi dwie godziny i staje...

– To już złom, piętnaście lat. Orłowski obiecał postarać się o wymianę rotera.

– Panie profesorze, potrzebna jest nowa...

– To ja wiem od paru lat. A izotopy do Eachevici?

– Mają przysłać.

\*

W gabinecie profesor podpisuje mechanicznie papiery, które podaje mu sekretarka, pani Irena, istota krótkowzroczna z grubymi szklami na oczach.

– Przepraszam, ale czy pan profesor widział, co pan w tej chwili, podpisał? To była już trzecia odmowa zakupu mikroskopu elektrycznego...

– Pani Ireno, od czasu jak ojciec opowiedział mi o pewnym roztargnionym dygnitarzu, który podpisał na siebie wyrok śmierci, mam zwyczaj czytać to, co podpisuję... Poza tym: nie podpisałem, tylko parafowałem, czyli przyjąłem do wiadomości czyjąś głupią decyzję. Pewnie, gdybyśmy pracowali bezpośrednio dla przemysłu, to nie byłoby problemu...

Profesor mówiąc to podpisuje dalej papiery.

– Ważniejsze jest w tej chwili, że pani ma nową, bardzo twarzową bluzeczkę...

Pani Irena oblewa się rumieńcem.

– Pani Ireno, błagam o kawę...

– Już nastawiłam, za chwileczkę będzie.

Profesor w milczeniu odwraca papiery, podpisuje.

– Kłóskowa ma przynieść jutro cielęcinę.

Może pan profesor weźmie kilo, półtora...

– Po co? Nie mam psa ani kota...

– Włóż pan z jarzynką do garnka i zagotu-

je. Za godzinę ma pan pyszną potrawkę. Nie można ciągle na tym restauracyjnym wikcie...

– Mnie służy.

– Do czasu, panie profesorze. Aha, byłabym zapomniała: docent Remiszewska od wczoraj w szpitalu. Kto ją ma zastąpić?

– Wtorki i piątki, tak?

– Tak.

– Na razie trzeba odwołać wykłady, a w przyszłym tygodniu będziemy się martwić. Pogadam z docentem Żmigrodzkiem.

Odzywa się telefon. Profesor podnosi słuchawkę.

– Nie, jutro nie. Mam ciężki dzień. A dzisiaj chciałbym wrócić wcześniej do domu i trochę popracować... Co? Nie, nie... W porządku.

Profesor odkłada słuchawkę na widelki, ale telefon znów się odzywa.

– Co proszę? Pomyłka... To przez centralę, 22-758.

W czasie tej krótkiej rozmowy, trzymając słuchawkę przy uchu, profesor zdążył podpisać dwa papiery. Następny odłożył na bok.

– To proszę przesłać do kadr.

– Chodziło tylko o opinię pana profesora.

– Nie mogę opiniować, bo nie znam tego pana, jak mu tam?

– Magister Stefan Dziecioł. On powołuje się na pana profesora.

– Pani Ireno, a czy ja mógłbym panią prosić o napisanie pozytywnej opinii o doktorce Amelii Łękoćkiej?

– Nie wiem panie profesorze, kto to taki...

– No widzi pani...

Profesor zamyka teczkę z papierami i z uśmiechem podaje ją sekretarce.

– Aha, byłabym zapomniała, niejaki pan Brodniewicz już drugi raz dopytuje się o pana profesora, chciałby się z panem profesorem zobaczyć. Twierdzi, że jest kolegą szkolnym pana profesora...

Profesor marszczy czoło. Odpowiada po chwili:

– Myśli pani...

Pani Irena milczy, rzuca spojrzenie spoza grubych szkieł.

– Proszę powiedzieć, że mnie nie ma.

– Już powiedziałam.

Profesor spogląda na zegarek, wstaje, podchodzi do otwartego okna. Spogląda w dół, na plac, na którym stoją rzędami zaparkowane kolorowe samochody, przenosi wzrok w dal, na zamglony horyzont i wpatruje się dosyć długo w bezkształtne zarysy czegoś, co nie wiadomo czym jest: dalekimi górami, lasami, czy tylko obłokami? Potem przygląda się roślinom posadzonym w doniczkach.

– Tradescantia znowu nie podlana, pani Ireno.

– Nie było jeszcze pani Kłosikowej.

– Ale Tradescantia lubi dużo wilgoci.

Profesor zapina marynarkę, mówi do sekretarki:

– Jestem w pracowni.

Profesor z wyraźną ulgą kończy swoje codzienne obowiązki dziekana i prorektora, i wraca do swojego świata. Ale trzymając już rękę na klamce, słyszy poza sobą głos sekretarki:

– Panie profesorze, chwileczkę – telefon z Warszawy!

\*

Profesor odwiedza wydawnictwo, w którym ukaże się jego książka. Nie zastaje swojej redaktorki, czeka na nią chwilę, przeglądając jakąś książkę. Pani Barbara zjawia się niebawem; jest to bardzo zadbana, starannie ubrana, elegancka i apetyczna jeszcze pani koło czterdziestki. Wszystkiego jest w niej trochę jakby w nadmiarze: ciała, gestów, słów, ozdób.

Mimo bardzo oficjalnej rozmowy na temat korekty, która nie jest jeszcze w całości przygotowana („Za kilka dni ktoś z redakcji podrzuci ją panu profesorowi do domu”) i ubolewania nad złą jakością reprodukcji, ale to nie jest wi-na redakcji, tylko poligrafii – czuje się, że coś tych dwoje ludzi łączy. Jakieś pół, a raczej ćwierć uśmieški, dotykanie niby niechcący biustem ramienia profesora...

Koleżanka pani Barbary, szczupła blondynka w wielkich okularach, które zajmują połowę twarzy, wstaje od biurka.

– Jakby ktoś dzwonił, ja będę w technicznej – mówi.

Wychodzi z pokoju. Barbara patrzy za nią, wzdycha:

– Lubię tę Halę. Ty wiesz, co ona teraz wymyśliła?... Cukier do herbaty odważony w takich małych torebeczkach po półtora deka... Paranoja.

– Kiedy wpadniesz do mnie? – pyta profesor.

– Chyba pojutrze. Jutro mam kolegium.

Dotyka dłonią ramienia profesora, strąca niewidoczny pyłek.

\*

Jest pora, w której zapalają się już światła samochodów, bo w wąskich ulicach miasta zapada mrok. Miasto jest pełne ludzi i pojazdów. Profesor utyka raz po raz samochodem na czerwonych światłach wśród samochodów, autobusów i tramwajów. Obok samochodu profesora zatrzymał się transporter ciągnący platformę, na której w dwóch kondygnacjach stoją kolorowe samochody.

Jest nareszcie na swojej ulicy, ale wszystkie miejsca przy krawężniku są zajęte i profesor jedzie dalej. Ustawia samochód, wyjmuje z bagażnika dwie torby z zakupami, zamyka samochód. Będzie musiał iść piechotą do domu kawał drogi. Przepycha się wśród tłumu przechodniów, śpieszący się ludzie potrącają go. Ulicą suną bez przerwy samochody, minęły się dwa, oświetlone od wewnątrz pełne ludzi tramwaje.

I nagle... ulica pustoszeje, robi się przestronnie i cicho. Przechodnie wchodzą do bram, samochody skręcają w boczne ulice. W mieście jest spokojnie jak po burzy, po ulewnym deszczu. Po wilgotnym bruku niesie się z daleka stukot kopyt dorożkarskiego konia. Dwoje bardzo młodych ludzi idzie pustym trotuarem. Profesor widzi ich. Idą obok siebie, czasem biorą się za ręce, dotykają ramionami, potem znów idą osobno, nierównym krokiem. Odeszli. Tę dziewczynę profesor bardzo dobrze zna. To Danuta. Wie jak jest ubrana: ma na sobie szarozieloną spódniczkę, szaroróżowy sweterek, pod sweterkiem ma bladoróżową jedwabną bluzeczkę, na nogach czerwone sandaiki i białe skarpetki...

Profesor widzi, jak u końca ulicy dwoje młodych żegna się ze sobą, on całuje ją w policzek, potem trzymając się jeszcze chwilę za ręce, oddalają do siebie, dziewczyna pobiegła w prawo, znikła w bocznej uliczce.

\*

Profesor w pracowni, wśród mikroskopów, urządzeń, odczynników. Słucha sprawozdania swojego współpracownika, docenta R. Docent mówi nudno i rozwlekle.

– ...uporządkowałem wszystkie wyniki, ułożyłem je w dwa szeregi równoległe, osobno gram-ujemne i osobno gram-dodatnie, i potwierdziło się to, co pan profesor przypuszczał.

– Co przypuszczaliśmy...

– Ja tylko zgadzałem się z panem profesorem, że tak być może, pomyśl był pana.

– Nieważne, panie Romanie. Grunt, że się potwierdza. Poczekamy na wyniki z Gdańska i pójdziemy dalej. A jak wygląda sprawa...

Ostre pukanie do drzwi, wchodzi asystent. Po jego wyrazie twarzy profesor poznaje, że zdarzyło się coś złego.

– Co się stało?

– Był wypadek, panie profesorze, zatrucie siarkowodorem.

Profesor wstaje, rusza w stronę drzwi, asystent przepuszcza go w prog.

– Kto?

– Zarębianka z trzeciego roku. Uruchomiła Kippa, bo chciała tam coś wytrącić z roztworu.

– Przecież to dobra chemiczka, czy to nie...

– Nie, panie profesorze, wypadek, podobno wentylator się zaciął.

– Pogotowie wezwane?

– Już jest lekarz.

Idą w milczeniu długim korytarzem. Profesor zaklął tylko „cholera”. Przed wejściem do pracowni chemicznej zebrała się grupka studentów, profesor mówi ostro „przepraszam”, wchodzi. Na podłodze, na noszach, leży dziewczyna, ma rozpiętą bluzkę i rozcięty biustnik. Lekarz kłęczy obok niej, słucha serca. Podniósł się. Profesor tylko przelotnie spojrzął na dziewczynę. Wziął pod rękę lekarza, powiedział:

– Jestem kierownikiem zakładu. Jaki stan dziewczyny?

– W porządku, jest już poza niebezpieczeństwem. Ale musimy ją zabrać, bo trzeba będzie przetoczyć trochę krwi i poobserwować.

Odwraca się, mówi do siedzącego na krześle studenta-brodacza:

– A pan jak się czuje?

– Dobrze, odpowiada brodacze.

– Może pan jednak pojedzie z nami?

– Nie, czuję się zupełnie dobrze.

– Pan też się nawąchał tego świństwa? – pyta profesor.

– Uratował dziewczuchę... – objaśnia ktoś z otoczenia profesora.

– No, to jak z panem będzie? – pyta jeszcze raz lekarz.

– Nic mi nie jest, nigdzie nie pojadę...

– Dobra, to proszę, idziemy.

Pielęgniarki wynoszą dziewczynę. Wszyscy wychodzą, ktoś bierze brodacza pod rękę.

– Daj spokój, co to ja pijany jestem?

\*

Profesor z brodaczem w gabinecie.

– Niech pan siada, panie Marku.

Profesor podchodzi do okna, otwiera je na oścież. Przez uchylone drzwi zagląda pani Irena:

– Może herbatki, albo kawy?

– Niech pan nam da trochę koniaku, jest jeszcze?

– Coś tam zostało.

Profesor nalewa po ćwierć kieliszka koniaku Markowi i sobie. Przysuwa się do niego z fotelem.

– Czy to pana dziewczyna?

– Nie, koleżanka, bardzo się lubimy, ale nie...

– A co pana zaniepokoiło, dlaczego pan poszedł za nią?

– Zgasło mi światło koło mikroskopu, pomyślałem, że wyłączono prąd i wentylator może nie działać...

– Rozumiem. Przytomnie się pan zachował. Myślę, że gdyby nie dziewczucha, ale kolega tam poszedł...

– Pan profesor rozmawia ze mną trochę jako Kojak... Myślę, że zachowałbym się tak samo...

Profesor uśmiecha się i klepie go po kolanie:

– A swoją drogą, wie pan, może byłoby do-  
brze, gdyby pan poszedł jednak do lekarza.

Mogło powstać jakieś drobne uszkodzenie  
błon śluzowych, czy coś...

– Nic mi nie jest.

– Dobra. To niech pan powie, co mógłbym  
dla pana zrobić?

Brodacz wzrusza ramionami.

– Jak tam studia, egzaminy? – pyta profesor.

– W porządku.

– Ma pan wszystko zaliczone?

– Tak.

– Stypendium?

– Dostaję.

– Wystarcza panu?

– Mniej więcej.

Profesorowi udaje się wreszcie wydusić  
z Marka, że jego dziewczyna nie ma mieszka-  
nia, że tuła się u koleżanek, co tygodnia śpi  
gdzie indziej.

– Dlaczego nie śpi u pana? – żartem mówi  
profesor.

– Ja mieszkam w akademiku. Czterech  
w jednym pokoju.

– Ona jest na naszym wydziale?

– Nie, w ogóle ona jest na historii sztuki.

– A dlaczego nie mieszka w akademiku?

– Bo nie było miejsca. Ma dostać dopiero  
od przyszłego roku.

Profesor patrzy chwilę w milczeniu na  
Marka, potem mówi:

– Niech pan zadzwoni do mnie w sobotę  
po południu, może coś dla niej wymyślimy,  
dobrze?

– Tak jest. Dziękuję.

– Albo po prostu przyjdźcie do mnie w so-  
botę, koło szóstej po południu – dodaje profes-  
or i wyciąga do Marka rękę.

\*

Profesor w swoim pokoju, zajęty robieniem  
korekty. Biurko zavalone szpaltami korekty  
i stronami maszynopisu. Drzwi gabinetu  
otwarte są do przedpokoju. Z kuchni dolatuje  
brzęk naczyń, szum wody, w przerwach nuce-  
nie jakiejś piosenki. Słychać wołanie:

– Witold!

– Tak?

Po chwili znów:

– Kolacja na stole!

Profesor niechętnie odrywa się od pracy.  
Zabiera z sobą kilka stron korekty. Barbara  
wyjmuje mu z rąk papiery, odkłada je.

– Jest czas pracy i czas jedzenia, czas miło-  
ści i czas zabawy...

Profesor siada przy stoliku nakrytym na  
dwie osoby. Patrzy na stół i na Barbarę wzro-  
kiem człowieka, który zajął miejsce w resta-  
racji, czeka na zjawienie się kelnera, a myśli  
o czy innym. Barbara:

– Ta twoja Łodzianka... Ile ty jej płacisz?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Może 800 złotych, nie pamiętam.

– Ja ci powiem, ile jej płacisz: 1600 złotych,  
co najmniej. Przecież ona wynosi ci z domu  
połowę jedzenia.

– Wynosi? Chyba przynosi.

– Nie udawaj roztargnionego profesora.  
Przecież we wtorek było jeszcze w łódźce co  
najmniej pół kilo kiełbasy. A gdzie się podziała  
kostka masła? Był jeszcze kawałek pieczeni  
wieprzowej.

– Widocznie kot zjadł...

– Co ty pleciesz? Jaki kot?

– To może szczur...

– Garnki niedomyte, brudy po kątach, ona  
nie czyszczone chyba od roku. W szafach mole,  
jak otworzyłam, to... No, straszne. Przecież to  
wszystko trzeba od czasu do czasu wyjąć z sza-  
fy, wynieść na balkon, wywietrzyć, przewie-  
trzyć...

– Tak, koniecznie przetrzepać... Wiesz do-  
szedłem do wniosku, że mam za duże miesz-  
kanie.

Barbara nakłada profesorowi na talerz  
szparagi, polewa je masłem z rondelka. Profes-  
or jakby się ocknął

– Szparagi! Ostatni raz jadłem szparagi,  
jak premierem był Sławoj-Składkowski.  
A ty wiesz, co zawierają szparagi? Aspara-  
ginę.

Barbara śmieje się.

\*

Profesor i Barbara oglądają telewizję. Idzie reportaż z Afryki. Stado antylop długimi skokami płynie przez płaski, rozległy krajobraz. Ich ruch ulega zwolnieniu, widać poruszające się jednakowo nogi i szyje. W ich ruchu, jest coś z tańca, z baletu. W dźwięku odzywa się daleki, głęboki odgłos bębnienia.

\*

Mroczny przedpokój, staromodne boazerie, ścianka z wieszakami i lustrem, w koszu parasole i laski. Rozlega się dzwonek u drzwi. Po chwil otwierają się boczne drzwi i z pokoju wychodzi młody człowiek. Witold jest ubrany „po domowemu”, w pomiętych spodniach, dosyć sfatygowanym swetrze. Podchodzi do drzwi wejściowych.

– Kto tam?

– Czy zastałam pana Łuniewicza?

Witold otwiera drzwi, do przedpokoju wchodzi jakaś pani we wspaniałym, popielicowym futrze, w zielonym kapeluszu i liliowej, zasłaniającej oczy woalce.

– Do usług pana – mówi młody człowiek.

– Moja przyjaciółka Danuta bardzo pana przeprosza, ale nie może przyjść z powodu migreny...

Chłopak bierze dziewczynę w ramiona, całuje.

– Co za bezczelność, pan się zapomina! Pokarzę się mojej przyjaciółce... – mówi dama w popielicowym futrze. Chichocąc mówi szepciem: – Wszystko pożyczyłam od Ziuty, futro, kapelusz, pantofle, sukienkę, torebkę, rękawiczki – nawet perfumy. Tylko bieliznę mam swoją... Powiedz, prawda, że miałeś taką chwilę, że nie byłeś pewny, czy to ja?

– Tak. Właściwie, to ciągle nie jestem pewien...

– Ale na wszelki wypadek obejmujesz tę kobietę?

\*

Wnętrze pokoju, oświetlone tylko blaskiem lampy ulicznej. W mroku widać zarysy staromodnego pieca, szafy, półki z książkami. Pośrodku pokoju okrągły stół zarzucony książkami i zeszytami. Niedopita herbata w szklance,

druga szklanka pusta, na talerzyku pomarańcza, otwarta i podzielona na części. Na poręczu krzesła futro. Danuta i Witold leżą obok siebie na łóżku. Danuta podparła głowę, powiedziała:

– Czy taka przebrana, była dla ciebie sobą, to znaczy mną, czy trochę kim innym? Jak to odczuwałeś?

– Nie wiem. Byłaś trochę kim innym...

– Jak innym?

– To trudno powiedzieć, z czym by to porównać? No, trochę tak, jakby inna kobieta włożyła twoją sukienkę i skropiła się twoimi perfumami.

– Co ty mówisz?

Zdawało się, że w ciemnościach widać oczy Danuty, wpatrzone groźnie w oczy Witolda.

– Taki żart wymyśliłem...

– To nie żart, powiedziałeś rzecz straszną! To tak, jakbyś powiedział, że kobiety są wymienne! Że można je zmieniać!

– Mężczyzn też...

– Możliwe, ale ja nie chcę teraz o tym słyszeć. Tak mi jakoś słabo...

Danuta położyła się na wznak, wyciągnęła rękę wzdłuż tułowia. Znieruchomiała, zamknęła oczy, udaje, że umarła. Witold pochylił się nad nią, patrzy z bliska na jej twarz. Dziewczyna nie potrafi zapanować nad mięśniami twarzy. Jej twarz ożywia się, oczy się otwierają. Danuta śmieje się, poprawia włosy, mówi:

– Bardzo się przestraszyłeś, że umarłam?

Jak się nie ruszałam i nie odzywałam?

– Trochę, ale nie bardzo. Tak prędko się nie umiera.

– Czasem bardzo prędko. Jedna chwila.

Muszę już iść.

Ale Danuta nie wstaje. Po chwili znów powtarza:

– Muszę już iść.

– Nie idź jeszcze. Dokąd się spieszysz?

– Mam dużo roboty. A jak nie będę pracować, to moja miłość do ciebie będzie nie-dobra.

\*

– O czym myślisz?

Barbara podparła głowę ręką, patrzy w nieruchomą twarz profesora, jakby nieobecnego



myślami. W pokoju jest półmrok. Profesor i Barbara leżą obok siebie na tapczanie.

– O czym myślisz? – powtarza Barbara.

– Właściwie to o niczym.

Barbara śmieje się:

– Jak to można myśleć o niczym? Ja to stale o czymś myślę... Teraz na przykład o tym twoim starym fotelu, z którego kłaki wyłazą... Po co to trzymać? Trzeba go sprzedać. Ty wiesz ile w Desie za taki fotel dają? Dwanaście, czternaście tysięcy. Można kupić trzy fotele. A zegar...

Patrzy na profesora.

– Ja wiem, do zegara to ty jesteś przywiązany, ale słuchaj... półki – to koniecznie trzeba zmienić, kupić meblościankę. Te książki i papiery kurzą się, część książek można zresztą wynieść do korytarza.

Profesor zakasłał.

– I w ogóle powinieneś wreszcie odmalować to mieszkanie...

Profesor słyszy zegar, którego chód jakby zwalniał. Ale to złudzenie, zegar tyka dalej miarowo.

\*

Profesor wchodzi do sali, na której odbywają się ćwiczenia z mikrobiologii. Rzędy stołów, na stołach mikroskopy i odczynniki. Studenci pochyleni nad mikroskopami. Większość dziewcząt. Profesor przystaje koło jednej z nich.

– No, co pani tu ciekawego ogląda?

– Paramecium caudatum.

– A proszę pozwolić...

Studentka wstaje, profesor zajmuje miejsce przy mikroskopie.

– A dlaczego on tak się tłucze w polu widzenia?

– Bo, bo, bo jest żywy, panie profesorze....

– To trzeba go unieruchomić. Tak, to pani niczego nie zobaczy i nie zrozumie. Poza tym trzeba to wszystko, co w nim jest pięknie narysować i opisać.

– Jak unieruchomić?

– Po prostu, trzeba go zabić. Uśmiercić.

Siedząca obok przy mikroskopie studentka z różowymi policzkami odwróciła głowę i dyskretnie spojrzała na profesora. Profesor wycią-

gnął rękę, sięgnął po butelkę z formaliną i przy pomocy pipetki umieścił kroplę formaliny na szkiełku z preparatem. W czasie gdy to robił oczy studentki śledziły precyzyjne ruchy jego ręki. Profesor przesunął szkiełko, podregulował mikroskop. W okrągłym polu widać teraz było nieruchomy kształt pierwotniaka, jego budowę, organa wewnętrzne.

Profesor wstał, studentka usiadła i spojrzała w mikroskop.

– Teraz wszystko jasne, prawda?

– Tak jest, panie profesorze.

Profesor odszedł, zatrzymał się jeszcze dwa razy. Oglądał czyjeś rysunki. Zwrócił uwagę na pewien element wewnątrzkomórkowy, który jest prototypem serca.

\*

W czasie podpisywania papierów profesor dowiaduje się, że umarła docent Remiszewska. Profesor przerywa na chwilę podpisywanie. Tak, nagle, wylew do mózgu, dzisiaj w nocy. Kiedy pogrzeb, jeszcze nie wiadomo. Trzeba będzie wieniec zamówić. To niech pani się tym zajmie. A proszę zgadnąć, kto już był u rektora w sprawie wykładów po docent Remiszewskiej? Pojęcia nie mam, pani Ireno. Doktor Kawula, podobno już mu wcześniej obiecano w Komitecie zaraz jak docent Remiszewska zachorowała, bo było rozpoznanie... Profesor rezygnuje definitywnie z cielęciny. Nie, nie, nie ma ochoty na cielęcinę. Zjadłby zupę rakową i sandacza po polsku... Skąd raki, sam pan profesor mówił, że z powodu pestycydów raki wyginęły... Pani Irena komunikuje jeszcze profesorowi, że zepsuł się autobus uniwersytecki i wycieczka z Akademii Nauk w Pradze nie ma czym pojechać do Ojcowa. Przecież to nie nasza sprawa. Ale wstyd. Oni tam podobno stoją przed hotelem, czekają... Profesor zaraz się tym zajmie. Aha, znowu był ten pan Brodniewicz czy Brodnicki...

– Proszę powiedzieć, że mnie nie ma.

– Ale on mówił, że widział pana profesora, jak pan szedł na wykład.

– Pani Ireno. Jestem u rektora....

– Tak jest...

Pani Irena wycofuje się do sekretariatu.

Profesor wstaje od biurka, robi kilka kroków w stronę okna, zawraca, powtarza w zamyśleniu:

– Brodnicki.... Brodniewski...

I nagle doznaje olśnienia: wie już, kto to jest Włodek Brodniewski, widzi go... dziesięcio- czy jedenastoletniego chłopca biegnącego chodnikiem koło płotu, chłopak trzyma w ręku smycz, na smyczy szarpie się, podskakuje, zrywa się, ciągnie nagle do przodu, śmieszny, kłapouchy szczeniak. Profesor Łuniewicz czuje, że on też ma 10 lat, że biegnie razem z Brodniewskim, migają sztachety, pies poszczekuje, wyrывa się. Dzieje się to wprawdzie wszystko nie na ziemi, ale jakby w powietrzu, ponad miastem, rzeką, drzewami, jak w obrazach Chagalla – ale jest równocześnie bardzo realistyczne. Włodek Brodniewski zatrzymał się na chwilę, profesor widzi teraz z bliska jego twarz z pieprzykiem na policzku, jego gęste, czarne włosy. Brodniewski trzyma coś w ręku – słoik z rybką, butelkę z chrabąszczami majowymi, jakieś kamyczki czy pieniążki, daje je Łuniewiczowi, lub może Łuniewicz daje to Brodniewskiemu? Brodniewski śmieje się, marszczy nos, mówi coś, wymachuje rękami...

Profesor siada za biurkiem, podnosi słuchawkę, mówi:

– Niech pani poprosi do mnie tego pana Brodniewskiego.

Siedzi chwilę przerzucając jakieś czasopiśmo. Słychać pukanie, do gabinetu wchodzi facet koło sześćdziesiątki, nieduży, łysy. Profesor wstaje, wyciąga rękę na przywitanie.

– Włodek Brodniewski?

– Tak jest, klasa IV c. Pamiętasz?

Zniknął obraz z dzieciństwa, profesor już nic nie pamięta.

– Prawdę mówiąc niewiele...

– A bo chodziliśmy razem krótko, niecałe dwa lata. Potem moi rodzice przenieśli się na Kujawy, kupili tam mniejsze gospodarstwo, a ja chodziłem do gimnazjum w Inowrocławiu i mieszkałem na stacji.

Dalsza rozmowa, to wymiana informacji na temat tego, co się działo w ciągu tych 40 lat. Rozmowa jest dosyć nudna, czasem zupełnie

bezsensowna. Ożywiają się tylko od czasu do czasu wspomnienia i obrazy... chłopców skaczących do rzeki.... jedenastoletniego Brodniewskiego... psa... jeża, owada biegnącego po ziemi...

Rozmowa, jak tego można się było spodziewać, zmierza ku sprawie egzaminu wstępnego córki Brodniewskiego i kończy się propozycją, po której profesor powinien wyprosić Brodniewskiego za drzwi. Stojący na parkingu i widziany z góry nowiutki „polonez”. W dniu, w którym nazwisko córki Brodniewskiego znajdzie się na liście osób przyjętych na studia – będzie mógł zmienić właściciela... Nie usłyszymy odpowiedzi profesora; scena kończy się nieruchomym obrazem: Brodniewski trzyma w ręku kluczyki od samochodu, profesor zastygł z ręką podniesioną ku twarzy, jakby chciał sprawdzić, czy jest dosyć starannie ogolony...

\*

Profesor w domu, w swoim pokoju. Pisze na maszynie, spogląda na chwilę w okno. Na balkonie przeciwniejszej kamienicy siedzi w słońcu staruszek. Siedzi nieruchomo, nogi ma okryte pledem.

W przedpokoju rozlega się głos dzwonka. Profesor idzie do przedpokoju, otwiera drzwi.

– Proszę, bardzo, proszę.

Do mieszkania wchodzi dziewczyna w towarzystwie studenta Marka. Dziewczyna jest tak uderzająco podobna do Danuty, że profesor zaniemówił. Podaje profesorowi bukiet stokrotek.

– Proszę...

– O, dziękuję... Proszę, wejdźcie...

W wyobraźni profesora odżyła twarz Danuty, jakby Danuta żyła i była w tej chwili właśnie obecna. Pamięć narzucała wizerunek twarzy Danuty i porównywała go z twarzą Krystyny. Były to obrazy przelatujące szybko jak tasowane karty. Nie było sposobu, aby obronić się przed nimi. Profesor potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się natarczywych usług swojej pamięci; nie ma już Danuty, w przedpokoju stoi jakaś obca, tylko bardzo do Danuty podobna istota, ale nie jest przecież Danutą. To ciężkie dla profesora przeżycie trwało w istocie

krócej, niż by się wydawało. Wstrząs, jaki profesor przeżył, miał swoje źródło nie tyle w podobieństwie obu kobiet, co w nagłym przyspieszeniu, intensywności i koncentracji wspomnień.

Profesor cofa się, pokazując drogę do swojego gabinetu. Dziewczyna jest nie tylko tego samego wzrostu co Danuta, ale ma podobne rysy twarzy, tę samą właściwie twarz, na pozór bardzo spokojną, ale ciągle w sposób ledwo widoczny zmieniającą się – w dodatku, mijając profesora, dziewczyna zrobiła ten sam ruch: pochyliła lekko głowę, potem odgarnęła grzbietem dłoni spadający na czoło kosmyk włosów.

– Siadajcie... Może kawy?

Marek patrzy na Krystynę.

– Nie, dziękujemy.

– No, to ja może.... Przepraszam. Na którym roku pani jest?

– Na drugim.

– Egzamin na karku?

– Tak.

– Będzie pani miała tutaj trochę spokoju...

Jeśli pani nie ma w ogóle mieszkania, to tymczasem, na te dwa miesiące, to znaczy do końca roku...

Profesor obserwuje Krystynę. Gdyby nie jasne włosy, podobieństwo do Danuty byłoby zupełne. Chwilami może się wydawać, że Krystyna jest przebraną Danutą.

– No więc jeśli nie chcecie kawy, to zobaczmy ten pokój. Proszę...

Trzymając ciągle w ręku bukiet kwiatów, prowadzi Krystynę i Marka do pokoju. Po drodze otwiera inne drzwi.

– O, tu jest kuchnia, a tu łazienka... A to pani apartament.

Otwiera drzwi do małego pokoiku, pustego, którego połowę zajmuje staromodne łóżko z metalowymi gąkami. Pokój jest trochę rupieciarnią, oparte o ścianę stoją jakieś obrazy, zwinięte w rulon papiery, stos książek. Okno zakurzone.

– To się powynosi na strych – mówi profesor – a obrazy to ja zabiorę. Kiedy pani się chce wprowadzić?

– Gdyby można jutro? Rano?

– Proszę bardzo, kiedy pani wygodnie.

Profesor zdejmuje z gwoźdźca zapasowe klucze, objaśnia jak otwierać zamek, wręcza klucze Krystynie.

– Panie profesorze... – Krystyna trzyma klucze w ręku.

– Słucham?

– Ile będę płaciła za ten pokój?

– Mieszkanie będzie płatne z dołu, więc co się pani będzie z góry martwić? – profesor uśmiecha się. – Porozmawiamy potem.

– Postaram się, żeby pan profesor w ogóle nie zauważył mojej obecności w domu.

Profesor spojrział na nią. Powiedział:

– Dwa razy w tygodniu przychodzi do mnie pani Lodzia, która robi tak zwane porządki. Osoba konfliktowa... Cóż jeszcze? To chyba wszystko.

\*

Profesor ogląda dziennik telewizyjny:

...wzburzone morze widziane z góry.

Przechylony, zanurzony do połowy tankowiec. Olbrzymia plama nafty ciągnie się po horyzont. Ciężka, ciemna, oleista fala zalewa wybrzeże. Martwe, umazane w mazi ptaki wyrzucane na brzeg.

\*

Szeroki, otwarty krajobraz morski. Wygięta półkole plaża. Brzegiem spokojnego morza idzie dziewczyna. Ma ciemne, spadające na ramiona włosy. Odwróciła się do nas twarzą, cofa się. Powiew wiatru strącił jej na czoło kosmyk włosów, odgarnęła go grzbietem dłoni. Danuta poruszyła ustami, mówi coś, ale słów nie słyhać. Dookoła jest tylko morze i niebo. Danuta ciągle cofa się, ale ten kto za nią podąża, widzi ją wciąż z tej samej odległości.

\*

W pięknym, lekko sfalowanym, pokrytym polami, łąkami i ozdobionym brzoźowymi laskami krajobrazie, polna droga. Dwoje młodych ludzi, Witold i Danuta, idzie powoli pod górę, na małe wzniesienie, Danuta jest w lekkiej kolorowej sukience. Cisza, słyhać tylko śpiew skowronków. Przydrożne krzaki i drzewa na miedzach osypane są kwiatem. Nie wi-

dać tego, co jest po drugiej stronie wzniesienia. Ale ze szczytu wzgórze otwiera się piękny widok: wijąca się wśród łąk rzeczka, po drugiej stronie rzeki wioska, mały drewniany kościółek otoczony starymi drzewami.

W spokój i ciszę sielskiego krajobrazu wdziera się obcy dźwięk: z daleka słychać brzęczenie samochodów.

Ciężarówki naładowane niemieckimi żołnierzami wloką za sobą tumany kurzu. W otwartych samochodach gęsto stłoczeni siedzą niemieccy żołnierze w hełmach. Śpiewają wojskową piosenkę.

\*

Witold i Danuta siedzą przy kwadratowym stole w pokoju, który jest jadalnią i zarazem gabinetem księdza proboszcza. Dwa małe okienka zarośnięte dzikim winem wychodzą na sad. Na przeciwległej ścianie wielki, czarny krzyż z Chrystusem pomalowanym świeżym lakierem na biało. Z pod ciemnej cierniowej korony ścieka na twarz Chrystusa czerwona krew, zalewa mu oczy, cieknie po policzkach. Czerwona krew cieknie także z otwartego boku Chrystusa. Na sąsiedniej ścianie stoi wielki zegar, tyka inaczej jak w domu rodzinnym Witolda, jakby jeszcze powolniej. Koło zegara jakieś fotografie z seminarium duchownego, z wizytacji biskupa. Witold i Danuta siedzą przy stole pokrytym białą ceratą w kratkę. Gospodyni księdza stoi oparta o wysoką poręcz krzesła. Gospodyni ma twarz nieprzyjemną, surową; czarne, gładko zaczesane włosy, ciemne, blisko siebie osadzone oczy. Jest w szarej sukni i białym fartuchu. Rozlega się wesołe szczekanie psa na podwórzu.

Gospodyni wychodzi. Jest cisza, w pokoju zapada zmrok. Słychać miarowe tykanie zegara, chwilami tak powolne, jakby zegar miał w następnej sekundzie zatrzymać się.

\*

Ksiądz składa powoli dokumenty, niektóre poprzecierane, oddaje je Witoldowi.

– To, proszę księdza, kiedy mamy przyjść?

– A, to już od państwa zależy. Ale przedtem trzeba uzyskać w kurii dyspensę od przedkładania pełnej metryki urodzenia dla pana, czyli

zgodę na zawarcie małżeństwa na podstawie wyciągu metrykalnego. Trzeba też będzie uzyskać zgodę dla panny młodej na zawarcie przez nią ślubu poza miejscem zamieszkania, ale to także zwykła formalność. Następnie damy na zapowiedzi, a za trzy tygodnie dam Państwu ślub – kończy ksiądz z radosnym wyrazem twarzy.

– Za trzy tygodnie nas już tu nie będzie. Ksiądz powiedział tydzień temu...

– Okazało się, że nie udzielamy już dyspensy od zapowiedzi... Życie kościoła powraca do pewnych koniecznych norm...

– Ale proszę księdza, jak można mówić o normach, kiedy wojna się jeszcze nie skończyła...

\*

Zaszło słońce. Witold i Danuta idą miedzą wśród pól. Zapada zmrok, słychać granie świerszczy. Danuta, która szła pierwsza, odwraca się, uśmiecha, mówi:

– Nie martw się, czuję się tak, jakbym wzięła z tobą ślub nie w tym drewnianym kościółku, ale w Bazylice Św. Piotra w Rzymie...

Obraz Danuty gaśnie, oddala się.

\*

Ranek, profesor goli się w łazience przed lustrem. Widzi swoją twarz z bliska, jest zmęczona. Profesor musiał wczoraj do późna w nocy pracować. Przerwał golenie i spojrzął w lewo, w stronę drzwi wejściowych, jakby usłyszał nagle dzwonek. Ale z przedpokoju słychać tylko leniwe tykanie zegara. Profesor popatrzył jeszcze w lustro, odłożył maszynkę do golenia na półkę. Podtrzymując łokieć lewej ręki, wrócił do swojego gabinetu. Usiadł za biurkiem, ma twarz spokojną, nie widać na niej żadnego śladu bólu czy cierpienia. Myśli o czymś, wysunął szufladę biurka, szuka czegoś. Ogląda jakieś lekarstwo, odkłada je, sięga po inne. Zażył małą, białą pastylkę. Zasunął z powrotem szufladę. Nic się nie stało tylko ruchy profesora są jakby zwolnione. Siedzi jeszcze chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał, potem wykręca czyjś numer w telefonie.

– Franek? Przepraszam, że o takiej porze. Tak? W każdym razie przepraszam, ale później

to trudno ciebie znaleźć. Słuchaj, mam prośbę, chciałbym, żebyś mi zrobił kardiogram... Nie, pierwszy raz. Kiedyś trzeba zacząć... Nie, nie trzeba... Tak, miałem pod ręką. Dziękuję ci... Dziś nie mogę... Wiem, że to nie żarty... Jutro, tak, będą o dziewiątej...

Profesor wkłada do teczki jakieś papiery, notatki, sięgnął do półki po książkę założoną kolorowym papierkiem, otworzył książkę, zamknął, włożył do teczki. Wysunął szufladę, szuka lekarstwa, znalazł, włożył do górnej kieszeni marynarki. Ciszę przerywa zgrzyt klucza w zamku. Profesor nasłuchuje; słyhać otwarcie drzwi, kroki w przedpokoju. Profesor wyjrzał: Krystyna w towarzystwie brodacza, wnoszą walizkę, torbę, narty. Krystyna cofnęła się jeszcze do korytarza po rulon białego kartonu.

– A, to państwo, proszę...

– Nie za wcześniej? – Krystyna ma zaróżowioną twarz, trochę inne uczesanie. Dzisiaj wydaje się mniej podobna do Danuty. Jest onieśmielona, jakby niepewna, może boi się, że profesor rozmyślił się od wczoraj?

– Nie, ja zaraz wychodzę. Proszę, pokój jest wysprzątany.

Otwiera drzwi do pokoju, w którym nie ma już niczego poza łóżkiem i pustą etażerką na książki. Na materacu leży złożona kołdra, poduszka, komplet bielizny pościelowe. Okno jest otwarte.

Profesor wrócił do swojego pokoju. Zbiera dalej papiery, zanotował coś w kalendarzu. Podniósł głowę i spojrzał przez okno: na balkonie przeciwległej kamienicy kobieta, chłopak sadowią sparaliżowanego dziadka na fotelu. Kobieta poprawiła mu słomkowy kapeluszyk na głowie, otuliła nogi pledem. Chłopak zniknął, kobieta mówi coś do dziadka, patrzy w dół na podwórze, potem w górę, na niebo.

Z pokoju Krystyny słyhać rozmowę, stukanie, potem dźwięk radia. Muzyka jest cicha, ale obca w tym domu. Profesor nigdy nie słucha jazzu.

\*

Profesor w sali, na której asystent prowadzi ćwiczenia z biologii mikroskopowej. Przystaje koło jakiegoś studenta, ogląda jego rysunek.

– Co pan ma tu ciekawego?

– Euglena viridis...

– A dlaczego pana Euglena jest taka sama jak ta, którą narysowała pana koleżanka, pani Rubińska?

– Bo koleżanka ma pod mikroskopem identyczną Euglenę.

– Użył pan słowa „identyczność” w sposób bardzo ryzykowny. W logice matematycznej byłoby to uzasadnione, ale nie w biologii, bo w świecie istot żywych panuje cholerny indywidualizm. Przecież identyczność osobników wykluczałaby mutację, a więc wszelką zmianę i rozwój. Nawet dwa pozornie identyczne osobniki, w istocie nie są identyczne, bo w chromosomach któregoś z nich kryć się może jakaś szalona cecha, która zapowiada już nową odmianę. Euglena viridis, którą pan ma pod mikroskopem, może być tylko identyczna sama z sobą. Więc proszę ją narysować tak, jak pan ją widzi pod swoi mikroskopem, a nie tak, jak ją zobaczyła pana koleżanka. Czyli po prostu mówiąc, proszę nie ściągać...

Śmiechy, uśmiecha się także profesor. Nieoczekiwanie dla samego siebie odszedł od tematu i zaczął mówić o studiach, o teorii i badaniach. Kończył:

– ...w studiach, zawsze, także za moich czasów, było coś z gry i zabawy, ale ja chciałbym, żebyście nie zapominali, że studiujecie jedną z najważniejszych i najpiękniejszych dziedzin wiedzy. Każda droga do poznania świata, jego natury i losu, prowadzić musi przez biologię. Jest to już dzisiaj nieuniknione. Czasem dochodzę do megalomańskiego trochę wniosku, że matematyka, fizyka i chemia są tylko naukami pomocniczymi biologii... W każdym razie – nauka, którą studiujecie, leży u podstaw wszystkich dyscyplin wiedzy i zarazem w ich centrum. Sąsiaduje z matematyką i filozofią, ale być może też z poezją i muzyką. A kto wie, czy nie także z metafizyką...

Głos innej studentki:

– Bardzo to piękne, co pan profesor powiedział o biologii. Ja, przynajmniej tak mi się zdaje, traktuje przedmiot moich studiów dosyć poważnie. Ale co mnie czeka po ukończe-

niu studiów? Wiem od starszych koleżanek, że nic ciekawego...

– To zależy też od pani.

– W małym stopniu. Jedna z moich starszych koleżanek pracuje w Sanepidzie, ale jej praca jest nudna i nie wpływa wcale dodatnio na jakość kiełbasy...

– Powiedziałbym nawet, że ujemnie... – wtrąca jeden ze studentów.

Śmiechy.

– Inna moja koleżanka pracuje w spółdzielni lekarskiej i robi analizy za przeproszeniem...

– Proszę, proszę bardzo...

– Mocz i kału...

– Też potrzebne, ktoś to musi robić.

– Tak, panie profesorze, ale do tego wystarczyłby trzymiesięczny kurs, a nie 9 czy 10 semestrów. A ja będę dostawać po studiach, w najlepszym razie 2.400 złotych...

– Nie ma innej rady, musi pani wyjść do brzoze za męża. Na przykład za młodego inżyniera, który będzie pracował w przemyśle i dobrze zarabiał. Kupicie sobie meblościankę, dywan, pralkę, a może nawet malucha...

Głos studenta:

– Meblościankę to sobie postawię tymczasem na Błoniach, bo na mieszkanie będę czekać sześć lat...

Dziewczyna mówi dalej:

– Robię co mogę, panie profesorze, ale jest cholerna konkurencja: na jednego studenta politechniki pięć i dwie dziesiąte dziewczuchy...

Śmiech, uśmiecha się także profesor.

– Mam dla pani radę.

– Tak?

– Niech pani zrobi dyplom z wyróżnieniem. Dostanie pani mieszkanie w ciągu roku.

\*

Profesor daremnie stara się skupić na artykule w naukowym angielskim czasopiśmie. Przeszkadzają mu dźwięki, których dawniej w jego spokojnym domu nie było słychać: szum wody w łazience, otwieranie i zamykanie drzwi, kroki w przedpokoju. Profesor podnosi oczy, patrzy na pusty fotel, potem wraca znów do lektury, ale jakiś niepokój rozprasza jego myśli. Czuje obecność Krystyny w domu.

Obecność istoty zagadkowej w jego życiu. Nasłuchuje. Podnosi się, idzie do kuchni. Przysiąga w drzwiach.

Krystyna siedzi przy stole, pochylona nad skrytem. Na kuchence gazowej czajnik z gotującą się wodą, na stole garnuszek z kwiatkiem, paczka herbaty. Małe radio tranzystorowe brzęczy.

– Widzę, że się pani oswaja... Co pani wkuwa?

– Ekonomię polityczną, nic nie rozumiem.

– Ja bym też nie rozumiał, jakbym się musiał teraz uczyć... No, zrobimy herbaty. Coś tu Lodzia miała zostawić, jakieś ciasto...

Profesor zagląda do lodówki, wyjmuje kawałek makowca.

– Ja zrobię, proszę pozwolić...

– Tu na półce jest angielska herbata...

– Pan profesor w szklance, czy w filizance?

– W szklance.

Krystyna nalewa herbatę do szklanki swojego garnuszka, profesor kraje makowiec.

– Co będziemy siedzieć w kuchni, chodźmy do mnie.

– Nie chciałabym panu profesorowi przeszkadzać.

Krystyna siedzi na fotelu trzymając oburącz garnuszek z herbatą. Patrzy na obrazy. Jest chwila kłopotliwego milczenia. Profesor słodzi herbatę, miesza łyżeczką.

– A czyje to obrazy?

– Podobają się pani?

– Ciekawe, ale nie wiem z kim skojarzyć.

– To moja żona malowała

– Była malarką?

– Tak.

Znów chwila milczenia, Krystyna wstała, z garnuszkiem w ręku zbliżyła się do ściany, ogląda obrazy. Przysnęła koło półki z książkami, wpatruje się w fotografię Danuty. Krystyna była odwrócona plecami, teraz nagle przekręciła głowę, spytała patrząc na profesora:

– A kto to?

– To jest właśnie moja żona.

Krystyna zamilkła. Profesor powiedział:

– A ten wojskowy w randze porucznika,

to mój ojciec. Trzyma za rączkę profesora biologii...

Krystyna śmieje się, patrzy na profesora.

Ale już zajęło ją co innego:

– Pan profesor zbiera takie małe flaszeczki?

– Ktoś mi przywiózł.

– Ja mam kolekę, Piotruś, ma całą kolekcję, bo ja wiem, ze sto sztuk. Wezmę, ukradnę i przyniosę panu profesorowi...

Profesor uśmiecha się:

– Ja nie zbieram.

– To nic, będzie pan miał...

– Pani Krystyno – odezwał się nagle profesor innym głosem – proszę mi powiedzieć, z jakich stron pani pochodzi?

– Z Limanowej.

– Ma pani rodzeństwo?

– Tak, brata. Siedzi w Zielonej Górze, bez sensu...

– A rodzice pani?

Krystyna mówi po chwili:

– Partenogeneza... Tak się to nazywa?

– No, jest taki termin w biologii, ale...

– Po prostu nie znałam ojca.

Krystyna umilkła, wróciła do fotografii Danuty, potem zatrzymała się jeszcze przed obrazem. Rozmowa, którą prowadziło tych dwoje ludzi była pozornie naturalna i swobodna, ale kryło się pod nią coś niedopowiedzianego, dystans, jakieś skrępowanie.

W przedpokoju rozległ się dźwięk dzwonka.

– Ja pójde otworzyć... – powiedziała Krystyna, i wyszła z pokoju.

Profesor usłyszał otwarcie drzwi, głos Marka i głos obcej dziewczyny. Goście weszli do pokoju Krystyny i zapanowała znów cisza. Profesor powrócił do przerwanej lektury naukowego czasopisma. Starał się na próżno skupić. Napłynął nieoczekiwanie tamten obraz...

\*

Ulica w deszczu. Trup na skwerze. Danuta skulona za barykadą z płyt chodnika, mebli, worków z piaskiem. Odwróciła głowę. Po jej biece, włosach, twarzy, ścieka deszcz. Uniosła rękę, daje znak, że można przebiec ulicę. Woła do siebie Witolda.

\*

Ulica pełna samochodów. Obok profesora, z prawej strony, zatrzymał się na czerwonych światłach duży samochód, a w nim jakiś grubas, który jest znajomym profesora. Pokiwali sobie, uśmiechnęli się do siebie. Grubas pokazał tłum przeciągający przed szybą samochodu, rozłożył bezradnie ręce. Profesor pokiwiał głową. Oto są nareszcie zielone światła i samochody ruszają. Ale niebawem, na następnym skrzyżowaniu profesor musi znów zatrzymać samochód. Przed szybą samochodu znów niekończąca się defilada przechodniów. Zapaliły się żółte światła, przechodnie zatrzymali się. Ostatnie samochody, wykorzystując chwilę i ziemię jeszcze „niczyją”, przejechały z prawej strony w lewo, tam, gdzie zamierza skrócić także profesor. Jednym z ostatnich samochodów był mercedes z Nieznajomą za kierownicą. Nieznajoma patrzyła przed siebie, miała skupiony wyraz twarzy; jak zwykle była bardzo dobrze ubrana. Profesor umie ocenić jej szarm i klasyczne rysy, ale jej uroda nie jest w guście profesora. Ilekroć ją spotyka, patrzy na nią z tą bezinteresowną przyjemnością, z jaką ogląda się tajemnicze i nieznajome kobiety na obrazach wielkich mistrzów. Zapaliły się już zielone światła, profesor położył rękę na biegu, ale z prawej strony dał się nagle słyszeć sygnał karetki pogotowia. Dźwięk narasta, zbliża się szybko, brzmi nieprzyjemnie, przeszywa powietrze. Karetka przejechała w lewo, jej sygnał po chwili umilkł. Profesor musiał jeszcze chwilę odczekać, potem skrzyknął także w lewo. Ale niebawem musiał zwolnić: z prawej strony, odrzucony aż pod ścianę kamienicy, stał na pół rozbity samochód osobowy. Na ziemi leżało ciało kobiety przykryte prześcieradłem, z pod którego wystawała tylko ręka z rozcapierzonymi jakby w niemym okrzyku palcami. W nogach leżała para trzewików na wysokim obcasie i torebka kobiety. Lekarz i pielęgniarz byli już niepotrzebni, stali beczynnymi. Pielęgniarz mówił coś do lekarza, który odwrócił głowę i patrzył w stronę karetki. Milicjant przynaglał samochody do szybszego wymijania miejsca wypadku. Drugi milicjant zajęty był rysowa-

niem szkicu sytuacyjnego. Profesor przyspieszył. Jest umówiony w klinice kardiologicznej.

\*

Profesor idzie powoli wzdłuż korytarza oglądając wywieszki na drzwiach. Zatrzymuje się, zapukał do drzwi z tabliczką: doc. dr hab. Franciszek Rutenberg. Zapukał jeszcze raz, zajął do gabinetu. Przechodząca młoda lekarka powiedziała:

– Proszę wejść i chwileczkę poczekać, docent zaraz będzie.

Profesor wyjął z teczki zawiniętą w bibułkę flaszkę, postawił ją na biurku. Usiadł. W tej samej chwili wchodzi docent R. Witają się.

– Co to, co to takiego? – zaciągnął z lwowska docent. Profesor przykłada do prawego oka kulał, co ma oznaczać, że w butelce jest koniak „Napoleon”.

– No, to się napijemy...

Docent wyjmując z biurka dwa małe kieliszki, napełnia je do połowy.

– To znaczy, że nie jest tak źle...

– A kto powiedział, że jest źle? Twoje zdrowie!

Docent uderza się po kieszeniach kitla, wyjmując zapis EKG, rozwija go na biurku.

– Proszę!

– Nie znam się na tym.

– Znasz się, znasz.

– Ja się znam na chromosomach, genach, wakuolach...

– To mniej więcej to samo. No więc jest, lub niedawno było, małe uszkodzenie. Bardzo małe.

– W jakim miejscu?

– W dobrym, na przedniej ścianie. Powinno się szybko i ładnie zagoić i sprawa się wyrówna. Bez śladu. O ile nie będziesz przepuszczał przez serce nagle zbyt wielkich porcji krwi, albo – co gorsza – skąpił jej naczyniom serca. Denerwacje, papierosy, gorące, potem zimne tusze, kąpiele... Co ci będę zresztą pieprzył? Wiesz, o co chodzi. Możesz żyć sto lat. Twoje zdrowie!

– Zdrowie. Słuchaj, możesz mi powiedzieć wszystko. Wolę wiedzieć.

– Powiedziałem ci wszystko. A w ogóle, to nie wiedziałem, że jesteś taki chojrak.

– Nie jestem chojrak – powiedział profesor bawiąc się kieliszkiem. – W czasie wojny bałem się jak cholera. Mam po prostu przekonanie, że nawet jeśli umrę, to nie umrę zupełnie.

– No pewnie. Zrobiłeś parę ładnych rzeczy w genetyce i cytologii.

– Też nie to. Liczę raczej na to, że będę żył jeszcze jakiś, dłuższy lub krótszy czas we wspomnieniach innych, tak jak inni żyją w moich wspomnieniach. Mogę na przykład pożyczyć jeszcze jakiś czas w twoich wspomnieniach...

– Na mnie zbyt nie licz. Ja się obywam bez wspomnień.

– Nie wierzę. Tylko kamienie nie wspominają. A i to nie jest takie pewne...

Rozmowa do tego momentu prowadzona była pół-żartem. Teraz jakby zbliżono się do czegoś poważnego. Docent powiedział:

– Masz rację. Każdy żyje w mniejszym lub większym stopniu wspomnieniami. Ale skąd się to bierze?

– Bo przeszłość jest taką samą kategorią bytu, jak inne.

– Ale wspomnienia postarzają. Są niezdrowym, ciężkostrawnym pokarmem...

– Właśnie najbardziej lekkostrawnym, nie obciążającym ani przewodu pokarmowego, ani kory mózgowej...

– Są ciężkostrawne, wydzielają truciznę, przyspieszają miażdżycę, zresztą, zależy co wspominamy... Nalej jeszcze pół kielicha... – mówi docent.

– Chcesz zobaczyć, czy mi się ręka nie trzęsie, co? To przerabialiśmy na drugim roku u Brzezickiego...

Profesor nalewa pewną ręką koniak do kieliszków. Docent milczy chwilę, potem mówi poważnie:

– Obaj zaczynamy trochę pieprzyć. Posłuchaj: chodzi o twoje zdrowie. O to, żebyś jak najdłużej nie musiał żyć tylko w cudzych wspomnieniach. Trzeba, żebyś trochę przyhamował, zwolni tempo, pewne rzeczy nawet wyłączył...

– Co mam przyhamować? Pracę, którą lu-



bię i którą żyję? Obowiązki, których nie lubię, ale które muszę spełniać, bo się ich podjąłem?

Pukanie do drzwi, wchodzi siostra oddziałowa. Obrzuca profesora krótkim, uważnym, ale obojętnym spojrzeniem.

– Przepraszam, ale pan profesor prosi pana docenta na Erkę...

– Już idę. Masz tu receptę. Uzgodniona z profesorem – dodaje docent.

\*

Wspomnienie. Profesor rozmawia z lekarzem, który opiekuje się chorą Danutą. Lekarz siedzący naprzeciw profesora jest tylko „po-piersiem”, jakie często można oglądać w TV, w programie reklam i porad. Twarz tzw. budząca zaufanie, czarne okulary, biały kitel typu chirurgicznego, w kieszonce długopis. Lekarz mówi:

– Pan jest przyrodnikiem, więc nie muszę tego panu tłumaczyć. Pyta pan ile? To zależy. Zależy od wielu okoliczności. Nie wyczerpaliśmy jeszcze wszystkich środków, jakimi medycyna dysponuje, ale w miarę upływu czasu, będąc ich ubywało. Sądzę, że pańska żona ma przed sobą jeszcze dwa lata życia. Tylko dwa lata lub jak pan woli, aż dwa lata.

...Danuta biegnie stromą uliczką w dół, do rzeki. Między opłotkami podmiejskich domków, przysłoniętych krzakami bzu, róży i jaśminów.

Profesor mówi do siebie, lub myśli:

– „Co on plecie? Dwa lata? Minęło już pięć, dziesięć lat, a ona żyje. I będzie żyć tak długo, jak długo ja będę żył. Co najmniej...”

Lekarz dodaje:

– Śmierć jest zwycięstwem procesów rozpadowych nad siłami twórczymi. Jest naszą klęską, na którą skazani jesteśmy wszyscy, ja, pan, cała ludzkość.

...Twarz Danuty – uśmiechnięta. Jej ręce wykonywające różne czynności.

– „Co on gada? Najpierw mówi, że nie musi tłumaczyć, a potem tłumaczy...”

\*

Późny ranek niedzielny. Profesor wyszedł z łazienki (w której, od czasu jak Krystyna zamieszkała w domu profesora, pojawiły się wi-

szące na sznurku majtki i staniki), przystanął w przedpokoju, nasłuchuje. Zdawało mu się, że słyszy w pokoju Krystyny jakieś głosy – rozmowę kobiety z mężczyzną? Ale to były głosy z radia. Krystyna jest w kuchni, profesor widzi ją stojącą koło kuchenki gazowej, zajętą przygotowywaniem śniadania – ale jakby na dwie osoby? Na tacy przygotowane dwie szklanki, talerzyki, widelce, noże, chleb pokrojony, kubki na jajka. Profesor staje w drzwiach kuchni:

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Myślałam, że pan profesor w niedzielę dłużej sypia. Miało być podane śniadanie do łóżka...

Krystyna odwraca głowę, patrzy na profesora z rozbrajającym uśmiechem.

– Ja nie jadłam śniadań w łóżku.

– To miało być tak dla hecy, jednorazowo...

– Wobec tego zjedzmy oboje, tutaj...

Profesor siada przy stole. Krystyna rozkłada talerze itd. Jest w tym coś z zabawy, teatru. Krystyna podaje profesorowi gazety. Profesor rozkłada gazetę, przerzuca, obserwuje przy tym Krystynę, nawet studiuje jej ruchy, gesty, miny. Krystyna porusza się naturalnie, nie ma w niej żadnego skrepowania. Patrzy w oczy profesorowi, nie unika jego wzroku. Siadła naprzeciw profesora. Wzięła pierwszą kromkę chleba, odgryzła pięknymi zębami kawałek skórki, uśmiechnęła się, sięgnęła nożem po masło.

– Pięknie... A co pani potrafi jeszcze ugotować?

– No, zupę z puszki, błyskawiczną z torebki...

– To mąż znajdzie w pani prawdziwy skarb...

– Teraz mężowie zajmują się gotowaniem. Ja nie po to studiuje, żeby gary szorować...

– A dlaczego pani wybrała właściwie historię sztuki?

Krystyna chwilę zastanawia się, bo pytanie profesora wymaga odpowiedzi już poważnej.

– Wszystkie inne rzeczy poza sztuką.... mnie zawsze interesowało to, co.... od dziecka miałam jakieś zamiłowanie do kolorów, rzeczy ładnych, niezwykłych, dziwnych... I może to...

– Co pani chce robić po studiach?

– Wyjdę za mąż lub nie wyjdę. A robić?...

Bardzo bym chciała pracować w muzeum. Ale to prawie nieosiągalne, cholerny tłok! Może w konserwacji zabytków... O, pan się pobrudził...

Krystyna pokazuje na poplamioną jajkiem marynarkę profesora – wstaje:

– To trzeba gorącą wodą...

Sięga po ściereczkę, moczy ją. Profesor mówi jakby zakłopotany:

– Nie... Chyba że pani chce to potraktować jako ćwiczenie z rewaloryzacji zabytków...

\*

Ranek. Profesor w łazience, po goleniu, przygląda się swojej twarzy. Nieoczekiwanie dla samego siebie zrobił jakiś ruch wygładzający zmarszczki wokół oczu. Chrząknął, sięgnął po krawat, przyłożył do koszuli. Odłożył, wziął drugi, spokojniejszy w deseni. Starannie zawiązał.

Lodzianaburmuszona, zła, zamiata przedpokój. Profesor przysiadł na zydłu, wkłada trzewiki. Dochodząca profesora, kiedy jest w złym nastroju ma skłonność do „mazurzenia”.

– Niech mnie pani tak nie obmiata, bo mnie ludzie zaczną obgadywać...

– Wcale bym się nie dziwiła.

– A co? Już obgadują?

– Jo nie słuchom, co ludzie gadajom, jo wiem tylko jedno, że będę „obrembiać”.

– Co obrembiać?

– Pieluchy będę obrembiać...

– Co pani wygaduje, pani Lodziu...

– Panie profesorze, ja już przed panem to byłam w ośmiu, nie, zaroz, w dziewięciu domach. I wiem, że jak w łazience wiszom majtki, to potym trza obrembiać pieluchy...

Profesor śmieje się:

– Pani jeszcze figle w głowie, pani Lodziu...

Jakby ktoś dzwonił, będę o piątej w domu.

Lodzianaburmuszona zamyka za profesorem drzwi.

\*

O godzinie 12.15 w auli uniwersyteckiej odbywa się ceremonia doktorancka. Sala jest pu-

stawa. W ławkach bardzo mało publiczności, kilkanaście osób. Ze ścian patrzy na to zabytkowe widowisko galeria rektorów w złotych ramach. Jest mroczno, ale po chwili zapalają się kandelabry, za katedrą sadowi się senat. Profesor w pomiętej nieco todze i w birecie na głowie, wygląda dość humorystycznie. Ale oto wkracza już w asyście pedli kandydat. Jest to były uczeń profesora; nieduży, chudy, w okularach. Ma bladą twarz i zaczerwienione z emocji uszy. Profesor patrzy na niego z życzliwym uśmiechem, jakby mu chciał dodać odwagi, potem błądzi wzrokiem po sali, przypatruje się dosyć długo portretowi przedostatniego rektora. Może to za jego kadencji, przed 30 laty, mgr Łuniewicz rozpoczynał w podobnych okolicznościach swoją karierę naukową? Profesor opuszcza wzrok, patrzy teraz na swoją rękę leżącą na katedrze. Poprawia rękaw togi.

Trwa tymczasem ceremonia, sąsiad profesora zadaje doktorantowi jakieś pytanie, doktorant mimo widocznej tremy odpowiada bardzo przytomnie. Mówi o roli DNA i Rna w chorobach nowotworowych. Jest chwila, w której profesor bardzo wyraźnie słyszy słowa doktoranta, ale potem profesor przestaje słuchać i wpatruje się w jakąś starą kobietę trzymającą w rękach bukiet pięknych, żółtych róż. Poprawia znów rękaw togi, nakręca dyskretnie zegarek. Wreszcie w pewnej chwili profesor wstaje, wygłasza po łacinie krótkie przemówienie i wręcza doktorantowi dyplom. Błyska dwa razy flesz. Dzięki firmie „Foto-Przyszłość” obsługującej także śluby i pogrzeby, chwila ta zostanie uwieczniona i będzie stanowić ozdobę albumu rodzinnego.

Korytarz. Woźny pomaga profesorowi nałożyć płaszcz. W perspektywie korytarza, w uchylonych drzwiach jednej z sal, profesor widzi zastawiony stół, kilka butelek szampana.

– To pan profesor nie zostaje? – mówi półgłosem woźny wskazując głową w kierunku uchylonych drzwi.

– Nie mogę. Mam zagraniczników...

– Poczekają, panie psorze... Doktorant się postawił. Dwanaście butelek, rumunsko szampanskoje...

Profesor nie daje się namówić, wychodzi.

\*

Krystyna w cyrku, w łoży. Sąsiednie krzesło jest wolne, Krystyna położyła na nim torebkę. Przedstawienie już dawno rozpoczęło się. Na arenie płacze się dwóch kłownów, przeszkadzają w ustawianiu krat do następnego numeru. Publiczność kwituje gagi kłownów salwami śmiechu. Oto wysoki, chudy kłown kopnął w tyłek małego, grubego, rozległ się potężny huk, błysnęło i zakurzyło się – z grubego zrobił się mały, chudy. Potem mały chudy kopnął wysokiego chudego itp. Gra orkiestra, słyhać szczęk montowanych krat.

Wchodzi spóźniony profesor, ogląda bilet, szuka swojego miejsca. Znajduje je obok Krystyny, która zdjęła właśnie z krzesła torebkę. Profesor kłania się Krystynie, siada. Krystyna uśmiecha się porozumiewawczo, ale profesor nie odpowiada. Kończy się montownie klatki, arena jest teraz zamknięta ze wszystkich stron. Mały chudy przypiął sobie ogon, udaje lwa. Goni i wypędza z areny wielkiego grubego. Krystyna reaguje na humor cyrkowy żywiołowo jak dziecko. Służba cyrkowa ustawia wewnątrz klatki kolorowe skrzynki, równoważnię, niklowaną obręcz. Orkiestra milknie. Niskim, okratowanym tunelem wbiegają do klatki trzy lwy, sadowią się na skrzynkach, rozglądają się dokoła. Wchodzi treserka w czarnym, połyskującym srebrem kostiumie. Orkiestra gra fragment z opery *Aida*. Widowisko jest dosyć stereotypowe; zwierzęta zmieniają stanowiska, wskakują na skrzynki, zeskakują, biegną, zatrzymują się, tworzą różne układy i kombinacje. Treserka panuje nad nimi, zwierzęta podporządkowują się jej woli.

Pełna napięcia cisza, tusz orkiestry, oklaski publiczności. Ale w mechanizmie widowiska zaczyna się coś psuć, zwierzęta zaczynają być niespokojne, stają się agresywne wobec siebie. Lwy zaczynają się wymykać spod jej kontroli, są podenerwowane, przemykają się bokami, ich agresja coraz częściej kieruje się przeciwko treserce. Większość ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy, myśli, że są to efekty zamierzone, że wkrótce zapanuje znów porządek i widowisko

zakończy się efektowną sceną końcową – ale profesor, który jest przyrodnikiem i lepiej rozumie naturę zwierząt, wie, że treserka przestała panować nad nimi. Numer kończy się wcześniej, pojawili się jacyś ludzie z „obstawy”. Treserka kłania się i wycofuje się dosyć spieszenie z areny, rozlega się muzyka.

– Żal mi jej – mówi Krystyna.

– Ona sobie z nimi poradzi. Jutro będą potulne jak trusie...

Zwierzęta opuszczają klatkę, wybiegają okratowanym kanałem. Orkiestra gra hałaśliwie. Pracownicy cyrkowi przystępują do rozmontowywania klatki. Na arenie pojawiają się znów kłowni.

Krystyna wyjęła z torebki czekoladę. Profesor ułamał kawałek. Właśnie w tej chwili sześćioletni synek pani Ireny, sekretarki profesora, zobaczył profesora i pokazuje na niego palcem, za co dostaje po łapie od matki. Pani Irena mówi coś do synka, pewnie, że nie wolno pokazywać palcem, potem mruży swoje oczy krótkowidza i kłania się profesorowi.

Profesor nachyla się do Krystyny i mówi półgłosem.

– Jesteśmy śledzeni...

– Przez kogo?

– Jutro sekretarka odmówi mi przyrządzenia kawy...

Profesor siedzi za biurkiem, pali papierosa, oderwał się na chwilę od maszyny do pisania. Krystyna usłyszała w przedpokoju melodię dochodzącą z pokoju profesora. Drzwi były uchylone. Krystyna staje w progu, w ręku trzyma linijkę.

– Można?

– Proszę.

– Co to za audycja?

– A to takie retro...

Na ekranie telewizora śpiewaczka w kostiumie z lat trzydziestych śpiewa piosenkę „O czym marzy dziewczyna, gdy dorastać zaczyna, kiedy z pąka rozwija się w kwiat...”

Krystyna siada na krześle. Profesor widzi ją pierwszy raz w sukience. Zwykle chodzi w dżinsach. Krystyna założyła nogę na nogę, widać kształtną łydkę i kawałek uda. Piosen-

karka śpiewa teraz refren: „Odrobinę szczęścia w miłości...”

Profesor uśmiecha się, mówi:

– To się za moich czasów tańczyło...

– Wiem. To jest tango.

Krystyna wstaje, próbuje kilku kroków tanga. Robi to z wdziękiem, ale jej ręce poruszają się jak w tańcu współczesnym. Profesor obserwuje ją chwilę, potem mówi:

– Ale ręce to nie tak.

– A jak?

Krystyna zatrzymuje się. Profesor podchodzi do niej.

– Proszę mi położyć lewą rękę na ramieniu, a prawą podać...

Krystyna kładzie dłoń na ramieniu profesora. Profesor objął ją. Krystyna robi ruch, jakby chciała ruszyć z nim o tańca, profesor opuszcza jej dłoń, wraca z powrotem na fotel. Krystyna w pozycji jakby obejmowała partnera tańczy dalej, uśmiechając się. „Odrobinę szczęścia w miłości, odrobinę serca czyjego... jedną małą chwilę radości przy boku ukochanego...”

– Śmieszne, co? – mówi profesor.

Krystyna tańczy dalej. Potem zatrzymuje się.

– Czy ja wiem, czy śmieszne? – mówi. – Ładne. Ale to był podobno taniec szalenie erotyczny. Teraz tak się nie tańczy...

– No, już wy tam robicie swoje, i bez tego tańca erotycznego...

– To są legendy panie profesorze – śmieje się Krystyna. – Przepraszam, nie przeszkadzam...

Wychodzi z pokoju.

\*

Korytarz uczelni. Studenci pozdrawiają profesora, który zatrzymuje się.

– Pani Zosiu, pani jutro zdaje u mnie...

– O dziesiątej.

– Proszę sobie powtórzyć metabolizm.

– Tak, ja się będę uczyć metabolizmu, a pan profesor zapyta mnie z genów...

– Niewykluczone.

Profesor rozmawia w swoim gabinecie z asystentem Z.

– Dostaliśmy roter do wirówki, panie profesorze.

– No, nareszcie coś się ruszyło. A ja dzisiaj dostałem pismo z KA-dwa, ale trochę trzeba poczekać.

– Świetnie, poczekamy...

– Tak, ale profesor Orłowski strasznie płacze... Tak płacze, że przykro patrzeć.

– Bo on sobie zaplanował dywany i palmy do rektoratu...

Drzwi uchylają się, pojawia się w nich pani Irena.

– Przepraszam, jest pani redaktor z PWN-u...

– Proszę...

Asystent zabiera papiery i wychodzi. Barbara wita się z profesorem:

– Ja tylko na chwilę. Przechodziłam...

Miałeś wczoraj dzwonić, czekałam...

– Dzwoniłem dwa razy, było zajęte, potem nie mogłem.

Barbara rozgląda się, patrzy na kwiatki stojące w flakoniku na biurku.

– Od kogo te kwiatki?

– Jakie kwiatki?... A, to ktoś postawił...

Barbara wysuwa szufladę biurka, wkłada jakiś pakuneczek.

– Co to?

– Pokazały się w Modzie skarpetki frotte, lubisz takie bordo?

– Owszem, lubię. Ale po co to?...

– Jak to po co? Przecież ty byś o tym nigdy nie pomyślał. Wpadniesz?

Profesor sięga po terminarz wypełniony notatkami.

– Dzisiaj nie. Mamy posiedzenie katedry.

– To wpisz sobie do kalendarza jeszcze w przyszłym tygodniu malowanie.

Profesor patrzy zdziwiony na Barbarę.

– Jakie malowanie?

– No przecież twoje mieszkanie wygląda już jak jaskinia... Dostałam adres dobrych malarzy, niedrogich. Wszystko załatwię, przeniesiesz się do mnie na dwa dni, wrócisz do czystego mieszkania. Ktoś przecież musi o tym myśleć.

– Nie – mówi profesor. – Żadnego malowania u mnie nie będzie.

Odzywa się telefon. Profesor podnosi słuchawkę. Jednocześnie w drzwiach ukazują się głowa pani Ireny.

– Przepraszam, panie profesorze. Studenci czekają...

\*

Profesor otworzył drzwi kluczem, powiesił płaszcz. Usłyszał zgrzytliwe dźwięki muzyki. Przechodząc ujrzał przez uchylone drzwi Krystynę i młodego człowieka, którego nie znał. Siedzieli na tapczanie. Krystyna bawiła się kołnierzykiem koszuli chłopca, coś mówiła.

Profesor wszedł do swego pokoju. Zdjął marynarkę i powiesił na poręczy krzesła. Spojrzał w okno. Jak każdego dnia o tej samej porze nieśmiertelny staruszek siedział na balkonie. Wokół niego kręciły się gołębie. Stary karmił je.

Profesor zaczął przeglądać pocztę. Odezwiał się telefon. Jakiś męski głos prosił Krystynę. Profesor podszedł do drzwi i głośno zawołał:

– Pani Krystyno!

Przybiegła i podniosła odłożoną słuchawkę. Z rozmowy wynikało, że ktoś ma dla Krystyny jakąś pracę, na której można trochę zarobić. Przeprosiła profesora, że pozwoliła sobie skorzystać z telefonu. Ale Krystyna nie jest pewna, czy profesor nie widział jej na tapczanie z Piotrem? Niepewność i zażenowanie każą jej więc zachowywać się trochę nienaturalnie. Jest przesadnie rozmowna, unika przy tym wzroku profesora.

– Nawet nie zauważyłam, że pan profesor jest w domu... Był u mnie Piotruś, powtarzaliśmy materiał...

– To kolega z roku?

– Tak. O, Piotruś... on sobie daje radę w życiu, on wszystko potrafi... Pomógł mi załatwić wyjazd z Almatu do Grecji, z wycieczką. Pan profesor był w Grecji?

– Nie, ale chyba warto.

– Całe życie marzyłam o Grecji...

Profesor popatrzył na nią z uśmiechem.:

– Całe życie... – powtórzył. – A pan Marek też się wybiera? – W jego głosie zabrzmiała ironia.

– O, nie... Marek, to całkiem co innego...

On w życiowych sprawach jest kompletna noga... Ja sobie nie wyobrażam jego żony – mówi Krystyna potrząsając głową.

– To bardzo wartościowy chłopak.

– Ja wiem. Ja go bardzo lubię, ale to co innego... Musiałam mu nakłamać...

– Dlaczego pani musiała mu nakłamać?

– Dlatego, że go lubię...

– Czyli błędne koło... A tego Piotrusia – też pani okłamuje?

– Czasem, rzadko...

– Z tego wynika, że pani Piotrusia niezbyt lubi, bo tylko czasem go okłamuje...

– Oj, pan profesor jest straszliwie logiczny... A życie jest takie skomplikowane... – Krystyna spoważniała. – Ja czasem marzę, aby móc żyć w jakimś świecie, w jakimś kraju, w którym nie trzeba kłamać. W którym wszystko byłoby proste i czyste...

Profesor popatrzył w okno, za którym krążyło na tle nieba stado gołębi. Spojrzał na Krystynę.

– A wie pani, że ja znam taki kraj... – powiedział. Po chwili dodał: – I nie trzeba nigdzie wyjeżdżać, bo każdy człowiek nosi ten kraj w sobie...

– Co to za kraj?

– „Kraj lat dziecińczy! On zawsze zostanie / Święty i czysty, jak pierwsze kochanie” –acytował profesor z żartobliwą emfazą Mickiewicza.

Zapanowała chwila milczenia. Krystyna nie wiedziała, co powiedzieć. Jak zakończyć tę rozmowę?

– Życie chyba niszczy ten kraj...

– Tak, no trochę psuje, a poza tym oddala, zaciera... Ale... Ale (eee – przerwał, jakby chciał powiedzieć „Danuto”) – pani Krystyno, żyć trzeba, żyć warto.

– Panie profesorze, czy naprawdę tak bardzo warto?

– Warto, bo życie jest ciekawe, pod warunkiem oczywiście, że robi się właściwy użytek ze swojej osobowości, charakteru, urody... Poza tym życie jest niepowtarzalne, więc tym bardziej warto.

– Nie wiem, ale ja czasem... – mówi Krystyna.

Odzywa się telefon, Krystyna mówi „przepraszam” i wychodzi z pokoju. Profesor jakby chciał ją zatrzymać, robi jakiś niezdecydowany ruch ręką, mówi tylko „przepraszam” i podchodzi do telefonu.

\*

Późny wieczór. Z oświetlonej kuchni Krystyna przechodzi przez mroczny przedpokój. Niesie w rękach ostrożnie garnuszek z herbatą. Zatrzymała się koło uchylonych drzwi gabinetu profesora.

Widzi rękę profesora przewieszoną bezwładnie przez poręcz fotela. Na ziemi koło nóg profesora leży gazeta. Krystyna niepewnie, jakby nie wiedząc co zobaczy, ostrożnie uchyla drzwi. Profesor siedzi w fotelu, ma skrzywione usta, obwisły policzek, wygląda brzydko, staro. A nawet trochę tak jakby nie żył.

Krystyna puka delikatnie w framugę drzwi. Profesor ocknął się, otarł kącik ust i uśmiech się, bo zobaczył – Danutę.

– Co tam, pani Krystyno?

– Może podać panu profesorowi herbaty?

– Dziękuję. Zdrzemnąłem się.

Profesor przetarł oczy. Jest przytomny.

Sięga po leżącą na podłodze gazetę.

\*

Noc. Profesor chodzi po domu, trochę przesadnie głośno może stuka drzwiczkami od lodówki, puszcza wodę w łazience, zamyka i otwiera gdzieś w głębi mieszkania szafę. Słychać tylko dźwięki i widać ciemne wnętrza przedpokoju z jasno oświetlonym prostokątem drzwi pokoju Krystyny.

Profesor przechodzi koło pokoju Krystyny. Zatrzymuje się, patrzy: Krystyna klęczy zgarbiona na podłodze, wśród rozłożonych książek i papierów, rysuje coś. Podnosi głowę, patrzy na profesora.

Rysunek przedstawia rzut pionowy jakiejś budowli.

– Co to będzie? – pyta profesor.

– A to taki kościół wczesnoromański...

Profesor przenosi wzrok na stolik, na któ-

rym leżą powiększenia fotografii starych nagrobków.

– A tam proszę nie patrzeć – mówi Krystyna – To jest taka fucha. Dają nam z konserwacji zabytków. Inwentaryzacja...

Profesor patrzy na jedno ze zdjęć. Przedstawia płaczącego anioła nad mogiłą.

– Piotruś robi powiększenia, a ja dostaję trzydzieści złotych od opisu... od sztuki...

Krystyna powraca do swojej pracy. Bardzo starannie i uważnie wyciąga tuszem prostą linię.

\*

Naprzeciw profesora siedzą dwie studentki. Zarembianka i jej koleżanka z roku. Profesor wziął od Zarembianki indeks, wpisuje stopień i składa podpis. Oddaje indeks.

– Ja tu pani wpisałem notę, ale proszę pamiętać, że najważniejsze jest w tej chwili jest zdrowie. Powinna pani gdzieś na dwa tygodnie wyjechać...

– Ale ja naprawdę czuje się dobrze i muszę pozdawać co trzeba.

– Pozdawać i wyjechać...

Zarembianka zagląda do indeksu. Widocznie profesor wpisał jej dobrą notę, bo uśmiecha się i jeszcze raz dziękuje. Wychodzi z gabinetu. Teraz kolej na egzamin dziewczyny z dobrze rozwiniętym biustem.

– Ja panią ostatnio rzadko widywałem na ćwiczeniach...

Studentka robi zdziwioną minę:

– Chodziłam...

– Pamięć to ja mam dobrą...

Studentka patrzy w twarz profesora, nerwowo rozpina i zapina guzik u bluzki. Profesor mówi z namysłem:

– No, to może pani mi powie coś... – zawiesił głos – Coś... o przemianie materii u bezkręgowców.

Studentka ma zaskoczoną minę.

– Pan profesor mi mówił, żebym się przygotowała...

– No właśnie z metamobilizmu...

– Ja myślałam, że jak pan profesor mówi, żebym się przygotowała z metamobilizmu, to będzie pytać z genetyki.

– Dlaczego? Ja jestem człowiekiem prostolinijnym... Słucham.

Profesor spogląda w otwarte okno. Na dachu domu naprzeciwko dwóch gości próbuje zmontować antenę telewizyjną. Jeden z nich krzyczy: „Nie ciągnij, kurwa, bo zlecę!...”

Profesor wstaje i zamyka okno. Potem wraca na miejsce.

– No...

– Metabolizm... – zaczyna powoli studentka – zaczyna się pobieraniem pokarmu, a kończy wydalaniem...

– Tak... Słucham.

Studentka zamilkła. Namysła się.

Przemiana materii służy każdemu organizmowi do zdobywania substancji i energii koniecznej do życia...

Znów długie milczenie. Studentka patrzy poważnie na profesora.

– No to niewiele sobie pani przyswoiła.

– Ja przepraszam, panie profesorze, ale ja jestem dzisiaj bardzo podenerwowana. Ja tu zdaję, a mąż siedzi przy dziecku i...

– Co się stało?

– Mała ma anginę.

Profesor bawi się długopisem. Mówi:

– No to jak pani jest podenerwowana, mąż jest sam z chorym dzieckiem, to może rzeczywiście zapytam panią o coś z genetyki...

– Ale...

– Ale nie teraz, w przyszłym tygodniu...

Dobrze?

\*

Wieczór. Naprzeciw profesora siedzi Nieznajoma z samochodu. Jest ubrana skromnie, ale elegancko. Nie ma na sobie żadnych ozdób, ani biżuterii. Na przegubie lewej ręki zegarek.

Profesor wpatruje się w jej jasne oczy.

Kobieta wyjmuje z torebki formularz i srebrny długopis i rozpoczyna wypełnianie druku. Odpowiedzi znaczy kółkami w odpowiednich rubrykach. Robi to szybko, ale precyzyjnie, czasem zastanawia się chwilę. Profesor odpowiada, patrzy na kobietę. Jeszcze raz musi stwierdzić, że chociaż kobieta nie jest w jego typie, w jej urodzie jest coś fascynującego.

– Wiek?

– 59 lat.

– Pleć? – kobieta nie czekając na odpowiedź profesora, robi kółko w odpowiednim miejscu.

– Pochodzenie społeczne?

– No, raczej inteligentnie...

– Studia? Stopnie naukowe? Odznaczenia?

Nie słysząc już odpowiedzi profesora, tylko pytania kobiety.

– .....

– Stan cywilny?

– .....

– Dzieci?

– .....

– Mieszkanie, ilość pokoi, metraż?

– .....

– Radio, pralka, lodówka, telewizor, telefon, samochód?

– .....

Zapada cisza, kobieta robi jeszcze jakieś notatki, ale nie pyta już o nic. Sprawdza jeszcze raz druk, składa go, chowa do torebki. Pochyla głowę, szuka czegoś.

– To wszystko?

– Tak.

Kobieta odrzuciła włosy, które jej opadły na czoło. Trzyma w palcach kredkę, maluje usta, patrzy przy tym na profesora. Oczy kobiety są jasne, czyste, na jej ustach pojawia się lekki, przyjazny uśmiech. Rozchyła wargi, ale to już nie jest uśmiech.

Słysząc powolne tykanie zegara.

\*

Wczesne przedpołudnie. Profesor usłyszał dzwonek w przedpokoju, ale nie wie, że w domu jest Lodzia. Rozległo się pukanie i w uchylonych drzwiach stanęła Lodzia.

– Panie profesorze... tu ktoś pyta o tę pannę Kryśkę. To ja powiem, że jej nie ma...

– Chwileczkę, pani Lodziu.

Profesor żywo wstaje, idzie do przedpokoju. Z przesadną grzecznością kłania się kolega Krystyny, Piotr. Trzyma w ręku książki.

– Chciałem panie profesorze...

– Nie ma pani Krystyny.

– A kiedy będzie?

– Nie wiem, proszę pana, nic nie wiem.

– Byłem umówiony, jestem jej kolegą...  
 – Domyślam się. Proszę pana... – mówi profesor rzeczowym tonem. – Nie wiem, nie było jej, nie nocowała drugi dzień...

– Przepraszam... – Lodzia zwija chodnik w przedpokoju – Przepraszam...

Piotr jest trochę zaskoczony wiadomością Profesora:

– Przyniosłem jej skrypty. Mogę zostawić?

Profesor przez chwilę obserwuje ugrzeczoną twarz Piotra, jakby chciał odgadnąć, czy jego wizyta nie ma jakiego związku z nieobecnością Krystyny.

– Proszę bardzo.

– To może ja jeszcze jej zostawię dwa słowa...

– Przepraszam...

Lodzia ze zwiniętym chodnikiem wychodzi z mieszkania. Piotr kreśli na kartce kilka słów i podaje profesorowi razem z książkami.

– Gdy pan profesor był uprzejmy tę karteczkę Krysi...

Wychodzi. Profesor kładzie książki na stole w pokoju Krystyny. Zawahał się. Rozwinął kartkę i przeczytał: „Krysiu – jesteś na liście egzaminacyjnej. Wtorek 9 rano. Piter”.

Profesor słyszy znów ostry dzwonek do drzwi. Idzie szybkim krokiem, otwiera. W korytarzu stoi dwóch chłopców. Jeden w mundurze harcerskim.

– Ma pan makulaturę?

– Wyłącznie... – mruknął profesor.

– Co proszę?

– Nie mam żadnej makulatury.

– Przepraszamy – mówią chórem chłopcy.

\*

W pokoju Barbary. Barbara podje korektę profesorowi.

– To jest całość. Wczoraj dopiero przyszła reszta z drukarni.

Profesor przerzuca w milczeniu korektę. Barbara bawi się koralami, zapaliła papierosa, celebrytuje tę czynność dosyć długo, wreszcie powiedziała:

– Jak mogłeś mi zrobić taką, taką, takie – nie wiem jak to nazwać...

– O co ci chodzi?

– Ty dobrze wiesz...

– Pojęcia nie mam.

– Jak mogłeś sobie sprowadzić do domu t dziwkę?

– Jaką dziwkę? – profesor podniósł oczy a Barbarę, ma twarz spokojną. Wytrzymał spojrzenie Barbary i jej ironiczny uśmiech.

– Tę rozwydrzoną gówniarę, która zdążyła już przejść przez łóżka wszystkich asystentów na historii sztuki.

Profesor patrzy na Barbarę.

– Co ty pleciesz?

– Przecież mieszka u ciebie „panna Krysią”...

– Mieszka, ale jej życie osobiste mnie nie interesuje.

Profesor wraca do przeglądania korekty. Barbara wyrywa mu korektę z ręki.

– Ale interesuje bardzo innych. W mieście mówi się, że pani Krysiu ominęła drogę służbową, przeskoczyła już docentów i jest teraz do dyspozycji pana profesora...

– Mówisz jak kretynka. Powtarzasz głupie plotki. Kto ci to powiedział?

Barbara jest na granicy płaczu:

– Jak mogłeś... Kiedy wydawało się, że wszystko między nami zaczyna się dobrze układać...

Odwraca się, płacze. Profesor wzrusza ramionami:

– Przecież ona mogłaby być moją córką...

– Tak, córką... córeczką. Taką z maleńkim biuścikiem i maleńką różową pupką, i żeby ta Lolitka spała sobie w twoim łóżeczku...

Profesor patrzy na Barbarę ze zdumieniem. Mówi półgłosem:

– Zwariowałaś chyba...

Podnosi się z fotela, idzie do przedpokoju, zdejmuje z wieszaka kapelusz. Wychodzi.

\*

Profesor zagląda do szerokiej, o amfiteatralnie podnoszących się ławkach sali. Pusto. Korytarz uczelni. Profesor kolejno otwiera różne drzwi. Sala mikroskopów. Pracownia chemiczna. Dwóch studentów, musztardówki, butelka. Butelka błyskawicznie znika. W pracowni analiz nad notatkami Marek. W głębi



sali studentki. Profesor pochyła się nad brodzikiem:

– Panie Marku...

– Tak, słucham...

– Niech pan siedzi. Nie wie pan, co się dzieje z panną Krystyną?

– A co, dlaczego?

– Nie ma jej już trzeci dzień.

– Nie było jej w domu?

– Właśnie, niepokoję się.

– Pewnie jest gdzieś u koleżanki. Może robią jakieś dekoracje...

Marek spojrział na profesora niepewnym wzrokiem:

– Ja się mogę dowiedzieć, ale no nie wiem...

– Niech się pan popyta...

\*

Profesor wraca po zajęciach samochodem do domu. Ulice śródmieścia opanowane są przez korowody rozbawionych studentów. Rozpoczęły się Juwenalia. Transparenty, festony, kramy, z głośników muzyka. Samochód profesora wolno przebija się przez gromady śpiewającej, rozbawionej młodzieży. Profesor widzi dziewczynę przebraną za staruszkę wieszoną w wózku dziecinny; dziewczyna robi na drutach, skrzeczy – „nie k przędko, nie tak przędko”.

Studenci podrzucają do góry jakiegoś przechodnia, śpiewają: „Dwieście lat, dwieście lat!” Raz i drugi wydało się profesorowi, że w tłumie mignęła twarz Krystyny. Ale były to twarze innych dziewcząt. Grupa złożona z Indian, ułanów, kowbojów i murzynów zatrzymuje samochód profesora. Dziewczyna z sercem wymalowanym na tyłku pakuje się na maskę wozu. Pirat z przepaską na oku wsadza do wozu kikut zakończony hakiem – „Kopytkowe!...”

Młodzi tańczą przed samochodem, wygłupiają się, grożą, proszą, wznoszą ręce do nieba. Jeden z nich – mały, tłusty – wyrывa z pasa wielką króciwą i przystawia ją profesorowi do piersi:

– Money, Geld!...

Profesor sięga do kieszeni, ale dłoń jego wędruje wyżej, rozpina kołnierzyk koszuli, jest mu duszno. Profesor daje sygnał, chce się cofnąć. Spogląda do tyłu. Za nim, za kierownicą

mercedesa widzi spokojną twarz Nieznajomej. Nieznajoma trzyma ręce na kierownicy, patrzy na profesora.

Samochód profesora wolno rusza do przodu, torując sobie drogę wśród niechętnie rozstępujących się studentów.

\*

Profesor wyjmuje z siatki zakupy. Kładzie je kolejno w lodówce, na półce. Wybiera najładniejszą pomarańczę, stuka do drzwi pokoju Krystyny. Cisza. Profesor wchodzi do pokoju, kładzie pomarańczę na stoliku.

W przedpokoju widzi, że ciężarki zegara dotykają już dołu. Podciąga jeden i drugi. Zauważył, że mieszkanie jest rzeczywiście dawno nie malowane. Na ścianach pojawiły się smugi, zacieki, jakieś pęknięcia. Wrócił do kuchni. Zobaczył smugę sadzy na ścianie.

Profesor w pokoju, spogląda w okno. Pada rześisty, majowy deszcz. Staruszek siedzący na balkonie moknie, wzywa jakby pomocy. Drzwi na balkon są zamknięte. Po chwili otwierają się, pojawia się kobieta i mężczyzna, chwytają krzesło ze starym i wynoszą go gwałtownie gestykulującego z balkonu.

Szum deszczu.

Wzrok profesora wędruje po półkach z książkami, zatrzymuje się na obrazie na ścianie. Jasne i ciemne smugi.

Lasy surowe o gęstych, wyraźnie zarysowanych pniach. Odpływają.

Danuta w jadącym pociągu – przy oknie. Niebo na wschodzie coraz bledsze, wstaje lekki świt. Płaskie, rozległe pola ze zbożami stojącymi jeszcze na pniu, powleczone mgłą.

Nad czarnym lasem świeci przejrzysta, seledynowa zorza.

\*

Profesor jak codziennie rano otwiera samochód i siada za kierownicą. Przekręcił kluczyk w stacyjce, motor nie pali. Profesor wysiada, zagląda do silnika, trzasnął maską. Jeszcze raz próbuje uruchomić silnik, bez rezultatu.

Postój taksówek. Profesor mija kilkanaście osób czekających w kolejce.

Profesor w zatłoczonym autobusie. Twarze pasażerów. Za szybą pojazdy i ludzie. Autobus

gwałtownie hamuje. Jakaś kobieta gwałtownie wbiegła na jezdnię, cofa się na chodnik.

\*

Długi, jasno oświetlony korytarz uczelni. Profesor mijając pozdrawiających go studentów. Są tacy, którzy dotrzymują mu kroku, idą z nim, wyprzedzają.

Profesor wchodzi do pracowni. Laborantka ogląda zawartość probówki. Podnosi głowę, pozdrawia profesora.

– Tu już docent pytał o pana profesora...

– Nawalił mi samochód.

Profesor podchodzi do laborantki, włącza światło koło mikroskopu, pochyla się.

Puste, jasno oświetlone okrągłe pole.

– Co to? – pyta profesor.

– Docent zabrał preparaty do reprodukcji – odpowiada laborantka.

Profesor gasi światło przy mikroskopie.

\*

Lodzia przed lustrem w przedpokoju. Bardzo starannie wiąże chustkę na głowie. Profesor stoi w drzwiach swego pokoju.

– A nie dzwoniła? – pyta.

– Przecie mówiłam, że nikt nie dzwonił – odpowiada Lodzia nie przerywając ubierania się. – Masła pan już ni ma, kupie jutro. Jajka też kupie. Do widzenia... pan profesor zamknie za mną.

Profesor wraca do pokoju, Biurko zarzucone jest papierami, pracami seminaryjnymi, referatami. Niektóre prace pisane są ręcznie.

Dzwoni telefon.

– Tak, jestem... Pan marek? Nie, nie ma jej... Kto?... Przedwczoraj? Z koleżanką?... Nie wiedzą? Dobrze, niech pan dzwoni, ja jestem w domu.

Profesor odkłada słuchawkę. Siada, wyjmując spinacz, przegląda czyjaś czystą pracę.

\*

W pokoju jest mrok, profesor ogląda w telewizji reportaż z budowy. Olbrzymia koparka przypominająca „przedpotopowego” dinozaura przerzuca masy ziemi. Profesor ogląda te obrazy właściwie bez żadnego zainteresowania. I bez dźwięku. Reportaż kończy się. Prezenterka mówi coś i na ekranie pojawia się

zdjęcie kobiety w średnim wieku. Kobieta ma oczy zamknięte, kosmyki wilgotnych włosów otaczają jej bladą twarz. Profesor włącza dźwięk – słyszy zakończenie komunikatu. Ktośkolwiek rozpoznałby osobę przedstawioną na zdjęciu proszony jest o zawiadomienie najbliższego posterunku milicji.

Pojawia się znów twarz prezenterki zapowiadającej kolejną audycję – „Sytuacje rodzinne”.

Profesor zapala światło w kuchni. Na stole garnuszek Krystyny.

W łazience wisi kwiecisty szlafrok Krystyny, a na nylonowej żyłce, nad wanną, rajstopy.

Profesor otwiera drzwi pokoju Krystyny. Łóżko jest zasłane. Na ścianie wisi plakat przedstawiający Akropol na tle bezchmurnego błękitu.

Bardzo blisko przed sobą ma drzwi z wyrazistym rysunkiem słoia. Za drzwiami jest cisza.

Drzwi wolno uchylają się. W jasnym pokoju siedzi na niskim stołeczku Danuta. Jest odwrócona plecami. Ręka z wyciągniętym pędzlem dotyka obrazu na sztalugach. Danuta odwraca głowę. Patrzy na profesora oczami nieobecny, jest w nich jeszcze powaga samotnego obcowania z tym co robiła. Jej twarz jest twarzą z okresu choroby, bladą, z podkrążonymi oczami. Na ustach Danuty pojawia się uśmiech, ale jest to tylko ślad uśmiechu z dawnych lat.

\*

Noc. Profesor usłyszał niezręczne otwieranie drzwi wejściowych. Wyjrzał do przedpokoju i zobaczył Krystynę, odwróconą plecami, mocującą się z zamkiem. Z korytarza słychać było gwar oddalających się głosów, nawoływania.

Profesor pomaga jej zamknąć drzwi. Krystyna jest pijana. Ma na głowie przekręconą trochę ciemną perukę, twarz umazaną szminką, błyszczące oczy. Profesor patrzy na nią tak, jak się patrzy na istotę pijaną: udając, że nie widzi się jej stanu. Twarz Krystyny podobna jest do twarzy dziewczynki, która dorwała się do kosmetyków swojej matki, ale przypomina także twarz kurwy z plant. Krystyna trzyma

w rękach dużą różową świnię z gipsu. Podaje ją profesorowi.

– Proszę... to jest ode mnie dla pana profesora. Od zapitej świni Krysi... To jestem ja... proszę...

Krystyna kładzie świnię w przedpokoju przed lustrem.

– Cholernie chce mi się pić...

Zataczając się lekko, zmierza do kuchni, otwiera lodówkę, ale nie znajduje wody mineralnej, nalewa więc do szklanki wody z kranu, pije. Patrzy przy tym na profesora.

– Pani Krystyno, co się z panią działo?

– Zalałam się, spałam u koleżanek.

– Niepokoiłiśmy się tutaj o panią.

– Kto? – Krystyna przestaje na chwilę pić.

– Wszyscy. Pani przyjaciele, no i w końcu także ja.

– Pan? Jestem już pełnoletnia...

– Nie wątpię, ale jest pani moją lokatorką, nie było pani trzy dni. Rozumie pani...

– Jakoś nie pomyślałam o tym...

– Pan Marek się martwił, szukał pani...

Krystyna napełnia wodą drugą szklankę, pije.

– Marek? Pfff... Mareczek taki kochany, ale taki brzydki i taki nudny... W ogóle nic mi się nie udaje. Zaraz zacznę płakać...

Krystyna rzeczywiście płacze. Jest teraz karykaturą Danuty, Danutą zohydzoną, ośmieszoną. Profesor patrzy na nią. Być może myśli: nie wiem, kim ona właściwie jest, w ogóle bardzo trudno jest wiedzieć cokolwiek o drugim człowieku.

Mówi rzeczowo, a nawet z jakimś okrucieństwem w głosie:

– Proszę się niczym nie martwić, mam dla pani dobrą wiadomość: załatwiłem dla pani miejsce w akademiku, może być już od jutra. Napisze pani krótkie podanie do administracji, to tylko formalność.

Krystyna nagle trzeźwieje, przestaje płakać. Jej twarz zmienia się. Profesor odwraca się, idzie w stronę swojego pokoju. Krystyna biegnie za nim.

– Ale dlaczego, panie profesorze, dlaczego?

Profesor w drzwiach pokoju odwraca się, opiera się o framugę, jakby chciał zatarasować Krystynie wejście. Ma zmęczoną, postarzałą twarz.

– Dlatego, że ja kończę właśnie ważną pracę. Muszę mieć trzy miesiące spokoju. – (Po chwili) – A poza tym, pytała mnie pani kiedyś, czy pani jest podobna do mojej żony. Powiedziałem, że nie. Skłamałem. Jest pani do mojej żony bardzo podobna. Zbyt podobna. Dobranoc pani.

Zamknął za sobą drzwi, usiadł za biurkiem. Panuje chwilę cisza, ale gdzieś z głębi mieszkania rozległ się nagle huk, jakby coś ciężkiego upadło na podłogę. Profesor nasłuchuje. Wstaje, idzie do przedpokoju. Zatrzymuje się w otwartych drzwiach pokoju Krystyny. Krystyna ściągnęła walizkę z szafy, uklękła na podłodze i wrzuca do walizki bezładnie książki, ciuchy, bieliznę, zdjęła z głowy ciemną perukę, wepchnęła ją do buta. Pakuje się z takim pośpiechem, jakby jej pociąg odjeżdżał za pół godziny.

– Co pani robi?

– Pakuję się.

– Teraz? Jest pół do pierwszej w nocy. Ma pani czas spakować się jutro rano – mówi profesor dosyć łagodnym tonem.

Krystyna wstaje, energicznym ruchem odgarnia włosy, które opadły jej na czoło.

– Wiem, co pan myśli o mnie: najgorsze rzeczy, prawda?

– Wcale tak nie myślę. Myślę przede wszystkim, że pani jest w tej chwili pijana...

– Zdążyłam już wytrzeźwieć. I chcę panu powiedzieć, że ja też kłamałam, tak, bo ja wiedziałam od pierwszej chwili, od kiedy zobaczyłam zdjęcie, że jestem podobna, cholernie podobna do pana żony. Myśli pan, że czułam się z tym dobrze? Byłam tym speszona od samego początku. Czasem chciałam być jeszcze bardziej podobna, nie wiem, czy pan to zauważył? A potem znów robiłam wszystko, żeby nie być do niej podobną... I w ogóle... Było to głupie, śmieszne, czasem trochę podniecające, ale proszę mi wierzyć bardzo męczące...

– Tym lepiej będzie, jeśli zamieszka pani

w akademiku. To się dobrze układa. Dla mnie i dla pani... – mówi profesor po chwili.

Patrzy w twarz Krystyny, otwartą twarz młodej dziewczyny, która ma jeszcze wszystko przed sobą.

\*

Profesor wszedł do pokoju, w którym nie ma już Krystyny. Na kozetce leży dosyć porządnie złożony żółty koc i czerwona poduszka, z której zdjęto powłoczkę. W kącie pokoju stoją zapomniane narty, na drzwiach szafy wisi naderwany „poster”. Z przedpokoju słychać powolne tykanie zegara. Przez otwarte okno dolatuje bliskie ćwierkanie wróbli i gruchanie gołębi, z miasta jednostajny szum. Dźwięki te podnoszą się i nasilają, potem opadają i słabną, ale trwają bez przerwy. Jest pogodnie przedpołudnie z bladym niebem nad dachami domów. Na balkonie przeciwległej kamienicy drzemie w fotelu niezniszczalny staruszek – symbol beznadziejnej długowieczności.

Profesor podszedł do okna i spojrzał w dół na wciśnięty między kamienice kawałek ogrodu, ale zamiast pojemników na śmieci, wieszaka do trzepania dywanów, suchotniczego drzewka i paru zdeptanych grządek – zobaczył wewnątrz ogrodu z dzieciństwa.

W zacisznym i oświetlonym zakątku, na tle kwitnących róż stoi okrągły, wyplatany z wikliny stół i kilka wiklinowych foteli, krzesel i taboretów. Na stole półmisek czerwonych malin, talerzyki, śmietana w wazie, cukier w cukiernicy. Wokół stołu siedzą: babka, matka, ojciec, Danuta, Krystyna, na trawie leży pies. (Może jest także dziewczynka, która kiedyś śmiała się, jak mały profesor płakał?). Matka podnosi się, robi ruch ręką, jakby spędzała osy z malin, nakłada łyżką maliny na talerzyk, zatrzymuje się, pyta o coś babkę, babka kiwa głową, że nie, więc matka nie daje cukru, tylko nalewa śmietany, podaje talerzyk babce. Tylko babka ubrana jest na ciemno, reszta kobiet ma na sobie kolorowe sukienki, ojciec wyblakłą, porozpiinaną bluzę wojskową. Danuta rozmawia z Krystyną, Krystyna odpowiada jej coś, Danuta wybucha śmiechem. Matka rozmawia z babką, ojciec milczy, czyta gazetę.

Do ogrodu wchodzi Nieznajoma, zbliża się do stolika. Nikt jej widocznie nie zna albo nie spostrzega, tylko ojciec odłożył gazetę, zapiął dosyć pospiesznie dwa guziki u bluzy. Pies podnosi głowę. Babka przestaje nagle jeść maliny, wpatruje się badawczo i jakby pytająco w twarz Nieznajomej.

\*

Odezwał się telefon. Profesor podniósł słuchawkę i usłyszał głos Barbary.

– Jesteś sam?

– Tak.

– Chciałam cię przeprosić za to wczorajsze. Byłam podenerwowana. Wiesz, miewa się lepsze dni, gorsze... Więc przepraszam.

Między słowami Barbary słychać było jakby szum dalekiego miasta.

– Ale niezależnie od tego, przemyślałam sobie wszystko i chciałam cię prosić, żebyśmy się więcej nie spotykali.

Przez chwilę w słuchawce panowało milczenie.

– Słyszysz mnie?

– Tak – powiedział profesor. – Słyszę.

– Ani u ciebie, ani u mnie. No, to tyle miałam ci do powiedzenia.

– Tak – powtórzył profesor.

Usłyszał dźwięk odkładanej słuchawki.

\*

Wczesny wieczór w mieście. Trwa jeszcze popołudniowe nasilenie ruchu. Chodnikami przelewają się tłumy przechodniów, jezdnią zatłoczona jest ciżbą samochodów. Większość pojazdów ma już zapalone reflektory. Światła dnia miesza się ze światłem sztucznym. Słońce na bezchmurnym niebie stoi jeszcze wysoko, ale przesłania je zasłona utkana z dymów, kurzu, mgły. Świecące nisko nad ziemią reflektory samochodów nie rozjaśniają mroku, lecz oślepiają jak światła ramp teatralnych.

Profesor wraca samochodem do domu, utykając dwa razy na skrzyżowaniach. Czerwone światła trwają tym razem jakby dłużej niż zwykle. Profesor włączył luz, zdjął ręce z kierownicy. Przez uchylone okno wlewa się do wnętrza samochodu zgiełk miasta.

Gdzieś daleko słychać przeciągły sygnał karetki pogotowia, samochód oddalił się, dźwięk ucichł. Nisko nad dachami kamienic przeleciał helikopter wprawiając w drżenie szyby i blachy samochodu, ale profesor nie podniósł głowy. Patrzy przed siebie, na przesuwaną się tłum ludzi. Widzi ich twarze zamyślane, roześmiane, skupione. Twarze mężczyzn, kobiet, dzieci, ludzi młodych i starych. Profesor chciałby któregoś z tych twarzy przyjrzeć się bliżej, ale ludzie nie zatrzymują się, przechodzą szybko, są już poza zasięgiem jego wzroku. Oto zmieniło się światło i profesor, jak na komendę, takim samym ruchem jak to zrobili wszyscy kierowcy samochodów, nie spóźniając się ani o ułamek sekundy, włączył bieg i ruszył. Na następnym skrzyżowaniu profesor miał szczęście, czekał krótko, gdyż znalazł się na chwilę przed zmianą światła na zielone. Tłum rozdzielił się przed nim, ludzie znieruchomieli na chodnikach po

obu stronach ulicy i profesor zobaczył wśród czekających – Danutę. Stała blisko krawężnika. Miała na sobie lekki, szary, samodzielowy płaszczyk, na ramieniu torbę na pasku, tę samą, którą nosiła w czasie okupacji. Była z gołą głową. Nie patrzyła na profesora, utkwiała wzrok w światłach sygnalizacyjnych. Była jednym z przechodniów, spieszących się, zajętych swoimi sprawami i myślami.

Profesor zawahał się sekundę, zwolnił, ale poza sobą usłyszał krótki, niecierpliwый sygnał kierowcy jadącego za nim. Profesor dodał gazu, przejechał skrzyżowanie i skręcił w ulicę prowadzącą do domu. W przerwie między kamienicami, jakby schwytaną w sieć przewodów tramwajowych i telewizyjnych, widać było bladą tarczę słońca. Słońce stało jeszcze dosyć wysoko na niebie, ale jego blask nie oświetlał już miasta, był chłodny i obojętny jak poświata zagasłej dawno gwiazdy.

## *Refleksy na powierzchni klosza. O twórczości filmowej Kornela Filipowicza*

WOJCIECH LIPOWSKI

„Pisarze przed filmem, przed wynalezieniem taśmy rejestrującej obraz a później dźwięk, byli tymi, którzy przed oczami czytelników uruchamiali doskonały ciąg obrazów, czyli jakby film” [1] – mówił w jednym z wywiadów Kornel Filipowicz, przyznając, że często – podczas ponownej lektury własnych tekstów – wywoływał taki próbny łańcuch obrazów, co umożliwiało porównywanie intencji z gotowym utworem literackim. Może ów warsztatowy zabieg, nieobcy innym pisarzom sprawił, iż postanowił, wykorzystując narzędzia adaptacji filmowej oraz własne teksty literackie, zaistnieć jako scenarzysta i mieć większy wpływ na – jak to określał – bezpo-

średnią kreację rzeczywistości. Niestety, mimo że krytyka literacka towarzyszyła jego dokonaniom prozatorskim i poetyckim, właściwie incydentalnie dostrzegano tego wybitnego artystę w mało znanym przeciętnemu odbiorcy jego tekstów charakterze autora dramaturgii filmowej. Pisarz rzadko komentował tę dziedzinę twórczości, choć współtworzył wiele scenariuszy. Nieraz wspominał, iż to zajęcie stanowiło tylko tło jego artystycznej aktywności, gdyż jako scenarzysta nie miał w zasadzie wpływu na kształt ostateczny dzieła:

Dla pisarza współpraca z filmem jest zawsze połączona z rezygnacją. Z czego? Z tego, czym pisarz w istocie swojej jest. Bo każdy pisarz jest reżyserem swojego tekstu, a pisząc na użytek reżysera, który jest kimś innym i ma swoją własną wizję utworu, to znaczy filmu – musi się wyrzec całej sfery realizatorskiej.

[1] *Co jest w człowieku... (Wywiad S. Stanuch)*, „Magazyn Kulturalny” 1973, nr 1.